

ŁOWIEC POLSKI

Dwutygodnik ilustrowany, poświęcony myślistwu, broni i hodowli psów myśliwskich.

Organ Warszawskiego Oddziału Cesarskiego Towarzystwa prawidłowego myślistwa.

Ogólnego zbioru Nr. 176.

№ 14. | Warszawa, 16 lipca 1906 r. | Rok VIII.

Warunki prenumeraty i ogłoszeń na końcu tekstu.

IV-ta Warszawska Wystawa Psów.



T a j g a.

Medal złoty. p. Marra.

FABRYKA WYROBU KARMY SZTUCZNEJ

dla bażantów, drobiu i psów

p. f. „DYANA“ w Skierniewicach

Na ostatniej wystawie psów w Warszawie miałem kilka wyżłów i trzy ogary, których karmienia przez czas trwania wystawy podjął się jej komitet. Co prawda, powierzając żywienie psów komitetowi, nie miałem wielkiego zaufania do karmy, jaką miano raczyć pieski; przypuszczałem, że ogary, jako mniej wybredne, w wikcie racyonalnego myślistwa jako tako smakować będą; co do irlandzkich jednak wyżłów, faworytów wszystkich domowników, byłem przekonany, że, zbałamucone lepszem jedzeniem, jakie zawsze otrzymywały, z karmy ogólnej zadowolone nie będą. Tymczasem przyjemnie zostałem zdziwiony, widząc, jak nietylko moje, ale i wszystkie inne pieski, poczynając od małych „azorków“, a kończąc na olbrzymich dogach i bernardach, ze smakiem miski opróżniały i poprostu objadały się dawaną im karmą przez cały, czterodniowy czas trwania wystawy.

Już dawniej kilkakrotnie karmę sztuczną sprowadzałem, nigdy jednak psy tej karmy chętnie nie jadły, byłem więc przyjemnie zdziwiony, dowiedziawszy się, że obecny wyrób jest krajowy, a nieco później znalazłem sposobność zwiedzenia tej interesującej dla każdego myśliwego, fabryki. W parę dni bowiem po zamknięciu wystawy, bawiąc w Skierniewicach, zajechałem do p. Majewskiego, właściciela fabryki wyrobu karmy sztucznej dla bażantów, drobiu i psów, pod firmą „Dyana“, który z całą uprzejmością po fabryce mnie oprowadził i zapoznał z całym wyrobem karmy.

P. Majewski wyrób karmy, szczególniej dla bażantów, prowadzi już od lat paru, t. j. od czasu objęcia posady dyrektora łowiectwa w lasach Skierniewickich, należących do księstwa Łowickiego. (Zarządzającym księstwem Łowickiem jest hr. Wielopolski; lasy, należące do księstwa, składają się z dwóch części: z lasów t. zw. „Nadpilickich“, utworzonych z dawnych leśnictw „Radzickiego“ i „Lubocheńskiego“, gdzie łowiectwem zarządza p. Modzelewski, i z lasów Skierniewickich, w których skład wchodzi i dawny „Zwierzyniec“, gdzie łowiectwem zarządza p. Majewski. W lasach „Nadpilickich“ prowadzona jest głównie hodowla jeleni, w lasach Skierniewickich — hodowla bażantów i drobniejszej zwierzyny).

Początkowo p. Majewski wyrabiał karmę przeważnie dla miejscowych bażantów w „Zwierzyńcu“, z powiększeniem się jednak bażantarni, po otrzymaniu świetnych rezultatów i zwróceniu uwagi na karmę przez wielu właścicieli bażantarni i uzyskaniu licznych zamówień, przeniósł fabrykę do Skierniewic, gdzie mieści się na skraju miasta, w oddzielnym, murowanym domu piętrowym.

Na parterze, w wielkiej sali, przeszło 600 łokci kwadratowych mającej, znajduje się piekarnia. W sali tej pomieszczone są następujące maszyny: 1) Mieszadło dla mąki i ciasta; 2) dwie maszyny do nagniatania i walcowania ciasta; 3) jeden wygniatacz do ciasta; 4) dwie maszyny do wyrabiania karmy dla bażantów i drobiu, systemu makaronowego; 5) sztance do wyrobu placków dla psów; 6) kotły do gotowania mięsa; 7) młynki do mielenia kości i mięsa; 8) duża suszarnia do suszenia kości i mięsa, a także wyrobów pokarmowych; 9) duży piec piekarski do wypiekania produktów. Wszystkie wymienione maszyny funkcyonują doskonale; są to wyroby firm angielskich i wiedeńskich.

Wypieczone i wysuszone produkty przenoszone są do sal na piętro, gdzie bywają drobione i przygotowane na skład lub do wysłania. W fabryce pracuje ośmiu robotników, a produkcya dzienna wynosi 8 do 15 pudów.

Do wyrobu karmy używana jest mąka pszenna, żytnia, owsiana, gryczana, oraz mąka mięsna, kościana i ze skorup ślimaków, przy dodaniu, stosownie do rodzaju karmy, bulionu, tranu rybiego, proszków antinosaciznowych, albo regulujących żołądek u bażantów, drobiu i t. d.

Kości i mięso produkują się z koniny i bydła, przytem kontrola weterynaryjna bardzo ściśle jest przestrzegana. Używanych przy wyrobie karmy dla bażantów w Prusach, piasku i drobnych kamyków fabryka „Dyana“ nie daje z zasady, że w naszej glebie niezbędny dla grzebiących do trawienia piasek i dro-

---

W taki to cichy, jesienny wieczór.

(Ciąg dalszy).

Szliśmy wciąż w milczeniu dalej, cicho, tajemniczo snując się przez las, jak dwa cienie.

Do weksłu było już blizko. Las porzedniał i stał się więcej podszytym, tu i owdzie nad wierzchołkami zajaśniał między drzewami szmat nieba. Zaświeciło wreszcie jezioro; wyszliśmy na nadbrzeżne łęgi, na skraj zarośli.

Tu stary zatrzymał się, popatrzył na las i na wody, na snujące się w powietrzu nici pajęczyny, zeszedł jeszcze parę kroków ku wodzie, przystanął i oddał mi sztucer.

— Tu, na tej górze, dobrze będzie, ztąd wiatru nie powinny dostać. Od prawej ręki, ze Starych Bud powinny wyjść.

Zalecił mi coś jeszcze; mamrocząc pod nosem, ułożył moją pelerynę pod rozłożystym, babiastym krzewem jałowcu i odszedł.

Słyszałem długo, jak stąpał po miękkiem podłożu lasu, potem ogarnęła mnie cisza; zostałem z własnemi losami i knieją sam na sam.

Nabiłem sztucer, nastawiłem lornetkę i przyczaiwszy się zdradziecko za jałowcem, począłem nasłuchywać. W jesiennym krajobrazie umierał powoli dzień, a z za jeziora, od pól, ledwie dosłyszalne, dolatywało mnie chwilami warczenie młocarni.

. . . .

Jeszcze świeciło słońce, ale nad światem był już smutek wieczoru i rezygnacya chwil, które minąć mają bezpowrotnie i których nic zatrzymać nie jest w stanie. Jesień była w powietrzu; babie lato. Ostatni może słoneczny dzień miał się ku schyłkowi. W poziomych, nikłych promieniach zachodu, w resztkach słońca, których wypalić nie zdążyło lato, świat, choć pogodny jeszcze i ciepły, był już bez siły i bez życia, już zamierający. Żadna żywsza barwa, żaden blask nie cieszył oka. W słońcu, które już nie grzało, ziemia jakby wyczerpana, zmęczona, leżała senna już i cicha, w ostatnim uśmiechu pogody gotując się na zimę, na śmierć. Na łąkach pożółkły trawy, na równinach szarzały łany upraw i zasiewów, na których nie pozieleniała jeszcze ruń. Tylko na drzewach liście grały barwami, w które jesienią, jak na śmierć, zwykł się stroić las. Wiatr usnął; na błękitnem, bladem niebie nie było obłoków. Podemną, jak wielka, lustrzana szyba, zaległa martwa tafla jeziora, a za jeziorem, nad brzegiem, przeglądając się w toni i już przesłonięta niebieską mgłą oddali, majaczyła wieś jakaś,

bne kamienie, ptactwo znajduje w dostatniej ilości w naturze.

Na zapytanie moje, czem należy objaśnić tę łatwość, z jaką psy przyzwyczajają się do spożywania wyrabianej przez firmę „Dyana“ karmy, p. Majewski objaśnia, że składa się na to wiele okoliczności, jak: dobre ustosunkowanie pokarmów mięsnych do mącznych, dobre wyrobienie, czystość przy wyrobie i t. d.

Rzeczywiście, trzeba przyznać, że czystość wszędzie w fabryce jest wzorowa.

Fabryka wyrabia jeszcze karmę dla młodych bażantów, sposobem, pomyślanym przez p. Majewskiego, suchą dystylacyą. Karma ta w zupełności zastępuje, z coraz większym trudem nabywane dotychczas, mrówcze jaja i siekane, gotowane jaja kurze. W Zwierzyńcu karma ta w tym roku została zastosowaną i wydaje jaknajlepsze rezultaty.

Po obejrzeniu fabryki skorzystałem z uprzejmego zaproszenia p. Majewskiego zwiedzenia bażantarni, urządzonej przez niego na nowych zasadach. Bażantarnia ta urządzona jest na terenach dawnego „Zwierzyńca“, gdzie obecnie, po wycięciu lasów, zakładane są paśniki, porośnięte bujną trawą, na których w niewielkich odstępach rzucone są remizy, w formie gazonów, gęsto zarośniętych krzewami maliny, jerzyny, dzikiej jabłoni, oraz rozmaitych, liściastych i iglastych drzew. Pomiędzy temi remizami pourządzane są w kilkunastu miejscach sztuczne paśniki, obsiane owsem, seradellą, gryką, prosem, bulwą, jarmużem, olbrzymią kapustą i t. p. Dziś wszystkie te paśniki, w znacznej części, ogrodzone są siatkami, gdyż inaczej przed wyrośnięciem byłyby przez zwierzynę zjedzone. W trawach, pomiędzy gazonami poprostu roi się od zwierzyny, bażantów jest masa; co parę kroków widzimy stare kury z młodemi, drogami posuwamy się bardzo ostrożnie, aby nie wjechać na młode. Stare koguty także się często widzieć dają. Zajęcy i kuropatw jest wielka ilość, a koziołki i sarny, stojące przy drogach, także wiele razy widzieliśmy.

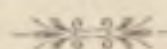
Następnie obejrzałem bażantarnię, budynki do wylęgania i t. d. Widziałem bażanty czeskie, angielskie, złote, srebrne, królewskie. Młode, karmione nowym systemem, karmą podawaną na sucho, trzymane są oddzielnie i odznaczają się: są silne, wesołe, lekkie i, jak objaśnia pilnujący je bażantarnik, prawie wcale ubytku w nich nie było.

Bażantarnia, założona stosunkowo tak niedawno, liczy już przeszło pięć tysięcy sztuk starych. W tym roku przyrost w dzikim stanie nie jest spodziewany zbyt wielki, gdyż długo trwające w czasie lęgu deszcze, zepsuły wiele gniazd; przytem p. Majewski zauważył, że w roku bieżącym nadzwyczaj trudno wykluwają się młode; przyczyną tego jest nadzwyczaj gruba błona jajowa, której młode nie mogąc przerwać, w dużej ilości w skorupach zasypiają. Ta klęska dotyka w tym roku wszystkie grzebiące, nie wyłączając kuropatw i kur domowych.

Na zakończenie muszę jeszcze dodać, że w bażantarni Skierniewickiej zrobione jest wszystko, co tylko zastosować było można dla wytępienia drapieżników, które tak chętnie bażantarnie odwiedzają, a więc żelaza na słupach, pułapki skrzynkowe na dróżkach i przesmykach, w oddzielnym budynku mieszczą się cztery wspaniałe puhacze, przy których strzelcy około tysiące drapieżników rocznie wybijają; w innem znów miejscu pomieszczone są lisie tresowane, a znane z wystawy, śliczne jamniki p. Majewskiego, niemało też w tępieniu lisów oddają usługi.

W takich warunkach nic więc dziwnego, że przy połączonej znajomości przedmiotu ze staraniem, dozorem i ochroną, bażantarnia Skierniewicka rozwija się tak pomyślnie i szybko, i prawdopodobnie wkrótce do pierwszorzędnych w Europie zaliczoną zostanie.

January Władysław Starzyński.



Przegląd krajowych ssaków łownych.

(Ciąg dalszy).

Świstak albo *Świszcz* (*Arctomys marmotta*). Jest to zwierzątko, mierzące około ½ metra długości, z czego na ogon wypada 16 do 17 ctm. Ciało ma dość krępe i walcowate, nogi krótkie, opatrzone silnemi pazurkami, do kopania ziemi przeznaczonemi. Głowa jego płaska, opatrzona jest parą wyłupiastych, czar-

---

drzewa, wysadzona topolami droga i na wzgórzu wiatrak, ostro rysujący się na tle nieba. Po prawej ręce, za wodą i za łąkami, ciągnął się czarny szlak lasów, zamykających pierścieniem horyzont. Po lewej — falisto schodziły ku wodzie łęgi, a pod górę, ku równinom, szły pola, których szeroka, rozpostarta szachownica, wyraźna była, jak na dłoni. Pod drugim brzegiem, jak białe płatki, rzucane wiatrem, błyskając w słońcu, kręciły się nad wodą mewy, i to był w tym słonecznym obrazie objaw życia jedyny. Ale objaw to był tak nikły i tak daleki, że popsuć tej symfonii spokoju nie był w stanie...

Potem, wysoko z nad lasu wypłynął klucz dzikich gęsi, zaczerniał na niebie długim sznurem i sunął w stronę zachodu, ku słońcu. W przestworzu szybował coraz dalej, na stropie nieba obsuwał się coraz niżej i niżej, już ledwie widzialny, jak szereg krzyżyków, jak niteczka czarna, aż utonął na widnokręgu i rozpłynął się w blaskach zachodu. Nawet mewy zniknęły i dokoła niepodzielnie zapanował spokój, jakgdyby w promieniach gasnącego słońca, nad światem przeleciał anioł śmierci. Z ciepłego, słodkiego powietrza, czy z błękitu nieba może, spływały zawiesiste pasma pajęczyny i senne, miękko, jak białe, wieczorne motyle, osiadły na ziemi. Za mną, już tonąc w pomroku wieczora, odwieczną, niedopowiedzianą nigdy gwarą, szeptał coś tajemniczo las...

. . . .

Powoli, niepostrzeżenie zapadał wieczór. Za górą słońce, już odarte z promieni, leżało na ziemi, jak czerwona, ognista tarcza, i niklem, poziomem światłem żegnało świat. Za czarną krawędź horyzontu zachodziło coraz głębiej, pozłociło raz jeszcze las, w lustrze jeziora zagrało złotą łuską, aż zgasło.

W okamgnieniu krajobraz zmienił się. Poczerniała zieleń, na ścierniach zaćmiło się złoto, zgasły blaski na jeziorze. Niebo odeszło wyżej i stało się bogatszem w błękit. Po dziennym trudzie ziemia układała się do spoczynku i usypiając, dyszała jeszcze. Pociągnęło od lasu wilgotnym chłodem, niosącym zapach sosny i paproci; od pól, wygrzanych w słońcu, szedł żywy, ciepły oddech ziemi, w którym falami niosło płodny zapach świeżo oranej roli i schnącego na pokosie potrawu.

Nad jeziorem, z pod czarnej ściany olszyn, jak rąbek białego muślinu, wstawała mgła. Od wsi i z pól na nocleg ściągało żywo do lasu czarne ptactwo.

Wszystko, co w przyrodzie żyje w świetle słońca, kryło się i zasypiało. Gdzieś, daleko za jeziorem, za olszynami, zadzwonili na Anioł Pański, wóz zaturkotał, wracając do wsi; w dalekiej zagrodzie pies zaszczekał, potem ucichło wszystko, — dzień skonał. Zaczynało się nocne życie, pełne czarów, tajemniczych szeptów, podejrzeń i zdrady. Mały ptaszek zakwilił jeszcze nieśmiało na brzegu lasu, aż zamilkł i on. Cisza wydała się jeszcze głębszą. A było chwilami tak cicho, że zdawało się: ja słucham, ale nasłu-

nych oczu. Ogon pokryty dość długim włosem. Głowa z wierzchu jest czarna ze słabą domieszką włosków płowych. Na bokach głowy włos płowy przeważa nad czarnym. Wierzch ciała jest rudawy ze słabą domieszką włosa czarnego; boki ciała i spód są płowe, ogon czarny z domieszką płowego włosa.

Zwierzątko to zamieszkuje wyższe piętra Alp, Pirenejów i Tatr, lubując się przedewszystkiem w niedostępnych regionach pastwisk alpejskich na wysokości 3,000 metrów i wyżej. Nie lubi sąsiedztwa ludzi, ustępując wszędzie przed naporem cywilizacyi. Główne pożywienie jego stanowią trawy i inne soczyste rośliny alpejskie. Żyje w norach, które samo sobie kopie w ziemi, przyczem inne nory zamieszkuje w lecie, a inne buduje na sezon zimowy, aby w nich przebyć t. zw. sen zimowy.

Niezwykły ten objaw biologiczny u żadnego chyba ze zwierząt nie występuje z taką siłą, jak u świstaka, dlatego nie od rzeczy będzie przytoczyć tu ciekawe obserwacye Sacc'a, opublikowane w *Magasin de zoologie* (Paris. 1858), pod tytułem *Notice sur la Marmotte des Alpes*.

„Za jedyną przyczynę tego długiego letargu uważać należy warunki klimatyczne, w jakich przebywa świstak, zmuszony żyć na wysokości 3,000 metrów nad poziomem morza, t. j. w krainie, gdzie zima trwa siedm do dziewięciu miesięcy, gdzie zatem przekarmienie trzy, lub najwyżej pięciomiesięczne musi wystarczyć na rok cały. Zaraz po obudzeniu świstak napycha się jedzeniem, wyszukując traw najbardziej soczystych, oraz korzeni najbogatszych w mączkę, i strawę tę spożywa w ilościach wprost zdumiewających. Po każdem jedzeniu pije wodę, poczem znów zasypia na kilka godzin, aby po obudzeniu wziąć się nanowo do jedzenia. Pod wpływem tego odżywiania, świstaki w krótkim czasie pasą się niepomiernie i dochodzą nieraz wagi 10 kilo. W miarę tuczenia się wzrasta również i ochota do snu, która w jesieni dochodzi do tego stopnia, że świstaki spędzają już całe dnie we śnie bez żadnego pożywienia. Ta potrzeba snu wzrasta ciągle, aż w końcu zwierzątko zapada w jednociągły sen, z którego budzi się tylko mniejwięcej co piętnaście dni, kiedy pęcherz wzbiera już tak dalece, że zachodzi niezbędna potrzeba oddania moczu. Wówczas świstak pozbywa się na poły swego odrętwienia, idzie z zamkniętemi oczami na miejsce, obrane naprzód i którego nigdy nie zmienia, załatwia swą funkcyę naturalną, poczem wraca spokojnie na swoje posłanie z siana.

Podczas ośmioletnich moich badań, nie udało mi się ani razu uchwycić jakiegokolwiek związku między zimowym letargiem świstaka a stanem atmosfery; zwierzątka te budzą się i zasypiają w zimie zarówno podczas zimna, jak i ciepła, lub przy wilgotnej atmosferze. Przeciwnie zaś istnieje bardzo wybitny związek pomiędzy napięciem snu letargicznego a bogactwem tłuszczu zwierzęcia, gdyż sen świstaków chudych jest mniej głębokim i trwałym, aniżeli zwierzątek spasionych; ztąd też pochodzi, że waga pierwszych zmniejsza się daleko szybciej. Nie należy jednak mniemać, aby waga tych zwierzątek zmieniała się znacznie w czasie ich snu zimowego; różnica wynosi najwyżej 200 — 300 gramów, czyli, że zwierzątka bardzo tłuste na jesieni budzą się jeszcze w dobrem mięsie lata następnego.

Świstaki zasypiają w swych norach zimowych. Z nastaniem chłodów włażą one do nich, napełniwszy je przedtem sianem i zatkawszy otwory na przestrzeni 60 ctm. do 2 metrów ziemią, kamieniami i trawą, co razem robi wrażenie prawdziwego muru. Pokrywszy się całkowicie sianem, zasypiają ze łbem schowanym między tylne nogi w taki sposób, że nos dotyka pępka, ogon zagięty jest na nos, nogi tylne wyciągnięte po obu stronach głowy, nogi przednie wiszą na tylnych, a to wszystko pokryte jest obszernemi fałdami skóry brzusznej, obficie oblepionemi sadłem, które zwiesza się po każdej stronie brzucha.

Zwierzę, według zdania Sacc'a, jest wtedy, tak zwinięte w kłębek, że niepodobna rozpatrzeć gdzie jest głowa, a gdzie kończyny; temperatura ciała szybko spada poniżej temperatury otaczającego powietrza, nawet w ogrzewanych izbach, a w dotknięciu ciało świstaka jest równie zimne, równie lodowate, jak marmur. Osobniki, które nasz obserwator trzymał w izbach o temperaturze + 10° do + 15, spały tak dobrze, jak i zwierzątka, przechowywane w piwnicach o temperaturze znacznie niższej, i budziły się jedynie wtedy, gdy odczuwały potrzebę wydzielenia z siebie moczu, aby zasnąć na nowo, aż do ostatecznego przebudzenia się w kwietniu. Sprawdził też Sacc, że zwierz, podczas trwania snu zimowego, nigdy nie wydzielał z siebie kału, że żołądek nie fun-

---

chuje i knieja, i czeka, czy nie zdradzę się głosem albo ruchem. Zatrzymywałem oddech i słyszałem bicie własnego serca i szept zegarka w kieszeni.

Już raz po raz mignął nad ziemią kozodój, szybki i cichy, jak myśl. Gdzieś za łąkami w polach, nawołując młode, zawabiła kuropatwa, nad lasem zaszumiało stado kaczek, lecących na ściernie, na suchy żer. Wyżej, gdzieś pod niebem, zakrzyknęła metalicznym głosem czapla i—znowu było cicho.

A las szeptał wciąż tajemniczo, opowiadał coś i obiecywał.

. . . .

Za mną w zaroślach *chodziło*. Coś poruszało się, przystawało, i znowu, ledwie dosłyszalne, szeleściało coraz bliżej.

Cały w słuchu, odruchowo, ostrożnie wyciągnąłem rękę po sztucer.

Szmer ustał i w przestworzach ciszy słyszałem znów tylko, jak biło mi serce i szumiało w uszach.

Znów zaszumiało, ale tym razem słyszałem wyraźnie, że to coś chodziło nie po ziemi, a gdzieś wysoko w konarach drzew. Raz jeszcze przystanęło, jeszcze chwila ciszy. Potem nagle rzuciło się, szarpnęło i upadło.

Trzask złamanej gałązki, urwany pisk ptaszka; zatrzepotało na ziemi, coś zachrapało, zaszeleściało po suchych liściach i ucichło.

Szczęśliwsza odemnie kuna leśna, zakończyła już wieczorne łowy i odeszła z łupem.

Leśny dramat, jakich pod osłoną nocy dużo odgrywa się co dnia. Bo dla tych, którzy ją kochają, knieja tajemnic nie ma; odsłania swe tajnie, pozwala weselić się, smucić i płakać z nią razem. O świcie, kiedy wejdzie słońce, w chwilach, witających dzień, śpiewaka jednego zabraknie.

Czas płynął chwila za chwilą, minuta za minutą. Już poszarzało, już rozpalały się na niebie zorze, w lesie coraz to bliższe drzewa tonęły w mroku, a jeleni nie było. Wyszedł z jałowców zając, tak blizko i tak pewny siebie, że dotknąć go nieledwie mogłem ręką. Poskoczył parę kroków, zdziwiony jasnością, czy może własną odwagą; przysiadł, strzepnął słuchami i wreszcie upewniwszy się, że dokoła bezpiecznie, ruszył ku polom na żer.

Podparłszy się na ręku, patrzyłem na niebo, na którem od złota i od seledynu mienił się zachód, i biadałem w duszy, że dzisiaj do strzału już nie dojdę. Światła było dziesięć minut, może kwadrans jeszcze, a potem, choćby zwierz wyszedł, będzie za ciemno. Rozpamiętywałem żałośnie, jak to nieszczęście prześladowało mnie zawsze, ilekroć spotkać się miałem z jeleniami.

W. J.

(C. d. n.).

kcyonował zupełnie, a jedynie pracowały płuca, chociaż oddychanie było nadzwyczaj wolne. W samej rzeczy świstak oddycha wówczas 90 razy mniej, aniżeli w stanie normalnym, gdyż płuca wdychają wszystkiego 15 razy na godzinę. Wskutek tego cyrkulacya odbywa się znacznie wolniej, a pulsacye serca zmniejszają się znacznie. Niezmiernie ciekawym faktem jest, że po odcięciu głowy śpiącego snem zimowym świstaka, serce biło jeszcze przez trzy godziny, uderzając 16 do 17 razy na minutę, a głowa odcięta, jeszcze w pół godziny po odcięciu, dawała oznaki czułości.

Temperatura świstaka podczas snu zimowego wynosi 8 do 9° Celsyusza, to znaczy temperatura nory zwierzęcia. Jeśli ogrzewać zwierzątko podczas letargu, to przy 17° oddychanie staje się żywszem, przy 20° świstak zaczyna chrapać, przy 22° wyciąga już członki, a przy 25° budzi się.

„Nie, — mówi Sacc — literalnie nic nie jest w stanie rozbudzić świstaka, z wyjątkiem jedynie szybkiej i znacznej zmiany temperatury otaczającego powietrza. Dotkliwe zimno budzi go znacznie szybciej, aniżeli podwyższenie temperatury; w obu jednak wypadkach zwierzątko wnet potem zapada w sen letargiczny. Aby więc rozbudzić świstaka, najlepiej jest wystawić go na dotkliwe zimno; budzi się wtedy szybko, szukając natychmiast jakiego schronienia, w którem by się mógł uchronić od zimna, a jeśli go nie zaniesiemy zaraz do miejsca cieplejszego, zdycha wkrótce.

„Budzenie się jego z wiosną jest objawem niezwykłym, gdyż pozwala nam obserwować powolny powrót życia w zwierzęciu i śledzić za jego postępami równie łatwo, jak się obserwuje jajo, poddane wylęganiu. Sposób rozwoju życia jest w tym wypadku zupełnie podobny, to jest, że najprzód objawia się życie nerwowe, następnie działalność krążenia krwi, a dopiero na samym końcu czułość i zdolność, pobudzająca mięśni. Przedewszystkiem świstak rozkręca się, wydając głębokie westchnienia, ale jest wtedy jeszcze zimny w dotknięciu; wkrótce potem otwiera swe wielkie oczy, tak łagodne i czyste; następnie nogi przednie odzyskują życie i zwierz zaczyna chodzić, ciągnąc za sobą sparaliżowany jeszcze swój zad, jak ślimak ciągnie swą skorupę.

„Sen opanowywa ciało w kierunku odwrotnym, to jest, że odrętwienie dotyka wpierw zadu i posuwa się ku głowie.

„Trudnem do uwierzenia, a jednak sprawdzonem jest, że podczas snu zimowego waga świstaka wzrasta powoli, aż do chwili, kiedy się budzi do wydzielenia uryny, a wtedy zmniejsza się o ciężar wydzielonego moczu. To podniesienie się wagi pochodzi wskutek ustalenia się w ciele tlenu, łączącego się z częściami składowemi ciała pod wpływem oddychania, które, jakkolwiek ledwie dostrzegalne, istnieje wszelako.

„Wszystkie powyższe obserwacye pozwalają nam ustalić, że sen zimowy świstaka nie jest niczem innem, jak tylko głębokiem odrętwieniem, spowodowanem jednocześnie przez zmęczenie i przez nadmierne otycie; jest on podobny zupełnie do stanu bezwładności wężów po przeładowaniu się jedzeniem, lub zwierząt domowych, spasionych do ostatecznych granic".

Nie posiadam danych, w jaki sposób i czy wogóle polują w systematyczny sposób na świstaki mieszkańcy Tatr. Natomiast Brehm w swem klasycznem dziele dostarcza nam opisu polowań w Alpach, gdzie świstaki są uważane za zwierzynę i w wielu kantonach szwajcarskich ochraniane przez prawo podczas wiosny i lata. Według wspomnianego uczonego, świstak jest bardzo trudny do upolowania na podchodnego lub z zasadzki, gdyż zwierzątka te, obdarzone doskonałym słuchem i wzrokiem, rozstawiają rodzaj czatowników, którzy, za najmniejszym znakiem niebezpieczeństwa, ostrzegają swych towarzyszy charakterystycznym świstem. Aby upolować świstaka na wychodnego, trzeba się udać na miejsce zasadzki jeszcze przed wschodem słońca, zanim zwierzątka z nor wyjdą. Jedynym więc, pewnym sposobem zdobywania świstaków, jest wykopywanie ich z nor. W dawnych czasach sposób ten praktykowano w sposób barbarzyński, nie licząc się ani z porą roku, ani z ilością tępionych świstaków. Dopiero w połowie zeszłego wieku władze wielu kantonów ustanowiły ochronę tej zwierzyny przez sezon wiosenny i letni, pod karą 400 fr. za naruszenie tego przepisu. W lecie wieśniacy markują starannie nory przy pomocy długich tyk i czekają pojawienia się pierwszych śniegów, a wtedy dopiero delegacya gminna rozkopuje kilka nor i względnie do przyrostu oznacza naprzód przeznaczoną do wybicia ilość świstaków, gdyż, względnie do roku, rodzina tych zwierzątek zmienia się od 3 do 12 sztuk. Wówczas oznacza się na każde gospodarstwo odpowiednią ilość świstaków i wszyscy udają się na polowanie. Po rozkopaniu nor zabiera się tylko osobniki dorosłe, tłuste i wyłącznie samce. Kładzie się je do worków i zanosi do wsi, gdzie się je zabija kijami.

Zwierzątka te, nie czyniąc żadnych szkód człowiekowi w krainach przez się zamieszkanych, dostarczają mu bardzo smacznego mięsa i doskonałego sadła, które w wielu okolicach zastępuje mieszkańcom masło i szmalec. Mięso jada się świeże lub wędzone. Jest ono białe i delikatne, jak królicze, nie posiada jednak wybitnego smaku. Natomiast ma być doskonałe w stanie uwędzenia. Aby je uwędzić, należy przedewszystkiem zwierzątko oparzyć, jak prosiaka, i z szerci ogołocić, a wówczas wiesza się je w wędzarni na dni kilka.

Futro świstaka jest dość ordynarne, niemniej jednak przez Szwajcarów używane bywa na podbicia.

Stepy południowo-wschodniej Europy i zachodniej Azyi zamieszkuje inny, blizki gatunek świstaka, t. zw. bobak (*Arctomys bobac*), zwany przez Anglików „a Poland Marmot" (polskim świstakiem). Brehm powiada, że zamieszkuje on „Galicyę, Polskę południową, Bukowinę, Rosyę i Syberyę południową". Prof. A. Wrześniowski, jako jego *habitat* podaje „stepy od Dniepru, aż do wschodniej Syberyi". Wreszcie Gustaw Belke w swej Mastologii (Wilno, 1848) mówi, że bobak „mieszka na suchych, pagórkowatych płaszczyznach, od gór Karpackich, aż do Chin i Kamczatki".

Jan Sztolcman.

(C. d. n.)

DZIEŁO SCHILLINGSA

o zwierzynie na wolności.

(*Streszczenie*).

(*Ciąg dalszy*).

Można w tym celu użyć elektryczności, lub też sposobu mechanicznego. Rękę fotografa wyręczyć musi sznur, pomieszczony na drodze zwierzęcia; sznur ten zagradza mu ścieżkę, lub też przywiązanym jest do przynęty. Skoro zwierzę dotknie sznura lub żeru, nastąpi naświetlenie. Gdybyśmy chcieli tego rodzaju zdjęcia wykonywać przy pomocy zwykłych naszych kamer, stan ich byłby zapewne wkrótce opłakanym. W tych bowiem razach aparat całemi dniami i nocami pozostawać musi na powietrzu, często podczas deszczu i t. p. Piękne okucia naszych kamer, ich miechy skórzane i t. d. ładnieby wyglądały po takiem parodniowem czatowaniu na zwierza.

Do tego celu trzeba posiadać kamerę bardzo prostą, z blachy cynkowej, pomalowanej na kolor zie-

mi lub liści. Format wystarczy 9 × 12, lub nawet 6 × 9. Migawki powinny być dwie: przy objektywie i szczelinowa przed płytką. Pierwsza, prócz zdjęć na czas, powinna umożliwić naświetlenie w ciągu $^1/_2$, $^1/_4$, $^1/_8$ i $^1/_{10}$ sekundy; dla drugiej wystarczą dwie szybkości, t. j. $^1/_{500}$ i $^1/_{1000}$ sekundy. Migawka szczelinowa mogłaby być umieszczoną w rodzaju pudełka, przytwierdzonego do kamery na podobieństwo matówki.

Obie migawki powinny być tak zrobione, żeby można je było trzymać na pogotowiu przy pomocy np. małego klinika. Najmniejsze szarpnięcie ku dołowi, usuwając klinik, mogłoby spowodować naświetlenie. Objektyw ma być możliwie ostry, dla zabezpieczenia od postronnych promieni, które mogłyby wywołać szkodliwe odbicia od soczewek, mieć winien lejkowatą nasadę około 10 ctm. długości. Kasety będą najlepsze blaszane, nie zawadzi zabezpieczyć kamerę od wpływów atmosferycznych i w tym celu pokryć ją można blachą lub płótnem nieprzemakalnem. Wszelako unikać należy materyałów, napojonych kauczukiem lub asfaltem, zapach ich bowiem odstraszyć może zwierzęta. Ponieważ takie przyrządy muszą być dość ciężkie, przeto i trójnóg winien być odpowiednio mocny i mieć nogi rozsuwane, aby można było umieścić kamerę na wysokości, odpowiedniej do wymiarów danego zwierzęcia.

Jako najpraktyczniejsze źródło światła, służą różne mieszaniny wybuchowe, zwykle złożone z proszku magnezowego lub glinowego i ciała utleniającego. Przyrządzanie tych mieszanin połączone jest z wielkiem niebezpieczeństwem i dlatego samemu można je wyrabiać tylko wtedy, jeśli idzie o duże ilości proszku, a przeto spory wydatek, w przeciwnym bowiem razie najlepiej używać proszków kupnych. Czasami wszelako, jeśli np. oświetlić mamy wąwóz ciemny lub też chcemy fotografować drobne, maleńkie zwierzątka, krótkotrwałe światło proszku wybuchowego nie wystarczy, wtedy użyć będzie należało sprzedawanych wszędzie ładunków, spalających się w ciągu 12 — 60 sekund. Proszki te, jeśli idzie o fotografowanie drobnych istot, można spalać przy pomocy powszechnie znanych przyrządów, które ustawia się na ziemi (fotografując np. mrówki), lub też trzyma w ręku, jeżeli chcemy robić zdjęcia np. z pszczół, pająka i t. p.

Dla dużych zwierząt ta ilość światła nie wystarcza i wtedy trzeba użyć przyrządu, obmyślonego przez Kieslinga dla Schillings'a. Jest to trójnóg bambusowy, rozsuwany, na którego wierzchołku przymocowano rynienkę, przeznaczoną na pomieszczenie proszku błyskawicznego. Przyrząd to lekki i mocny, dla pewniejszego zaś ustawienia można doń przyczepić woreczek z piaskiem, żeby zaś trójnóg nie zagłębiał się zbytnio w pulchnej ziemi, można końce nóżek ustawić na drewnianych lub metalowych krążkach z otworem dla pomieszczenia ostrza trójnogu. Ważną kwestyą jest wybór sposobu zapalania proszków. Wszelkie proszki, zawierające w swym składzie chloran potasowy, są niebezpieczne w użyciu i z tego powodu lepiej się niemi nie posiłkować. Za to wygodnie użyć można nawet większych ilości mieszaniny, składającej się z proszku magnezowego i nadmanganianu potasu. Do zapalenia najlepiej użyć prądu elektrycznego, tylko tam, gdzie trudno zastąpić nowemi, brakujące części przyrządu elektrycznego, naprzykład podczas dłuższych podróży, w okolicach niezaludnionych, należy spowodować wybuch przez uderzenie. Odpowiednie do tego przyrządy przygotowywa Goerz. Naturalnie, że proszek błyskawiczny musi być odpowiednio zabezpieczony od wpływów wilgoci. Zbyt mocne opakowanie zwiększy zarówno siłę wybuchu, jak i huk, na skutek niego powstały. Najlepiej, jak sądzi autor, pokryć ładunek błonką kolodionową. Skoro wszystko jest już gotowem, udanie się zdjęcia zależy od dokładnego, równoczesnego wybuchu i otworzenia się migawki. Do tego celu służą baterye elektryczne, których prąd, działający na migawkę i zapalający proszek, zamyka samo zwierzę. Nie brak też i mechanicznych tego rodzaju aparatów.

Przy robieniu zdjęć trzeba zdać sobie sprawę z warunków oświetlenia, które zależą nietylko od pory roku i dnia, lecz także od stanu nieba. Nie bez znaczenia są i warunki terenu, na którym mamy fotografować. Nie można zapominać o przesłonie i posiłkować się nią zgodnie z potrzebą, pamiętając, że wywiera ona równocześnie podwójny skutek: pogłębia ona ostrość obrazu, oraz zmniejsza siłę świetlną objektywu.

Fotografując zwierzęta w ruchu, tem krócej winno trwać naświetlenie, im ruch jest szybszym i im mniejszą jest odległość przedmiotu od objektywu. Pod tym względem przyrząd fotograficzny porównać można z okiem ludzkiem, które, obserwując pociąg zdaleka, odbiera wrażenie, jakgdyby posuwał się on powoli, podczas, gdy blizko nas przebiega z błyskawiczną niemal szybkością. Zupełnie tak widzi i objektyw, jeśli wolno się tak wyrazić. Małe doświadczenie, najlepiej nas o tem przekona, jeżeli bowiem porównamy na matówce ruch jednego i tegoż samego człowieka w odległości 3 i 20 m., zdziwieni będziemy różnicą szybkości.

Do tej szybkości ruchu stosować się winna migawka. Wogóle przyjęto, że dane zdjęcie będzie jeszcze wystarczająco ostre, jeśli ruch postępowy danego punktu w chwili otwarcia migawki wynosi conajwyżej $^1/_{10}$ mm.

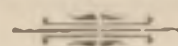
Dlatego też przy

ruchu postępowym zwierzęcia równym w czasie 1 sekundy	ogniskowej	odległości, z której zwierzę jest fotografowane	naświetlenie trwać winno
1 m.	24 cm	100 m.	$^1/_{24}$ s.
5 m.	—	—	$^1/_{120}$ s.
10 m.	—	—	$^1/_{240}$ s.
20 m.	—	—	$^1/_{480}$ s.

Czas naświetlenia zwiększa się w tymże stosunku, przy równej odległości, w miarę zmniejszania się ogniskowej, i skraca się przy tejże ogniskowej, im bliżej zwierzę podchodzi do aparatu. Przy niewielkich odległościach, szczególniej przy zdjęciach automatycznych, gdy ruch prędki uchwycić trzeba na odległość np. 5 m., posługiwać się można tylko migawką szczelinową.

J. Kamieniusz.

(C. d. n.)



TĘPIENIE LISA

przy pomocy jamników i siatek.

Napisał

Stanisław Dutkiewicz.

(Dokończenie).

Polowanie.

Na sto lub dwieście kroków odległości od jamy, zostawia się jamniki na smyczy, myśliwy zaś w największym spokoju idzie sam obejrzeć jamy. Robi się tak dlatego, że nieraz przyszedłszy z psami, wolno

idącemi, te poczuwszy lisa w jamie, wpadają odrazu, a drugim wylotem ucieka lis, do którego strzelać nawet nie można. Dlatego po obejrzeniu jam, nakryciu siatkami, jedną jamę najlepiej wytartą, zostawia się dla wpuszczania psów i za niemi siatkę zaraz zarzucić trzeba. Ponieważ myśliwy tylko wtedy do lisa strzelać powinien, gdy ten ze siatki się wydostanie, zanim go psy dopadną, to bardzo ważną jest rzeczą gdzie stanąć, a mianowicie tak, żeby lisa dobrze strzelać można było, gdyż ten umie korzystać z każdego krzaka lub wzgórza, ażeby się za niemi schować. Jeżeli jamą jest obszerny wypłuk, to lis bardzo prędko się wynosi. Nad jamą, t. j. nad wylotem, którym psy weszły, stawia się chłopaka z grubym, dębowym kijem, którym tenże lisa zaplątanego uderza. Jeżeli lis zaraz wyjdzie, dopadają go psy i zagryzają. Nie trzeba nigdy wzbraniać psom, żeby lisa gryzły, owszem, dać im się nacieszyć do woli. Jeżeli lis wyszedł, a psy zostały i dalej szczekają, znak to, że jest jeszcze drugi w jamie; trzeba natychmiast drugą siatkę, zapasową, założyć.

Gdy psy, które bijąc w jamie, nagle ucichną i po kilku lub dłużej minutach wyjdą i położą się obok jamy, to znak, że lisa w jamie zagryzły.

Myśliwy, nadsłuchując, gdy psy w jamie biją, powinien umieć rozróżnić, czy lis przenosi się z miejsca na miejsce przed psami, czy w obronie gryzie psy i po wyjściu psów z jamy, jeżeli lisa nie wygnały, trzeba obejrzeć: jeżeli są pokaleczone, a na wargach i zębach mają po kilka włosów lisiej sierci, to znak, że lisa zagryzły w jamie.

Czasem także zdarza się, że psy pomęczone, jeżeli np. już były w kilku jamach i zagryzły kilka lisów, co się najczęściej trafia po południu, — z jamy wyjdą, lisa nie wygnawszy, ani go w jamie nie udusiwszy; myśliwi, którzy nie znają zwyczajów lisa, zwykle w takim razie każą zarzucić jamę cierniem, albo jałowcem, kamieniami, i zasypują ziemią z poleceniem, żeby nazajutrz gajowy, albo najęci do tego ludzie lisa odkopali. Otóż lis przez noc zawsze się wykopie i na drugi dzień ludzie bez potrzeby kopią próżną jamę. W takim razie robi się inaczej: psy odprowadza się na bok najmniej z jakie tysiąc kroków, przykrywa się siatkami wszystkie wyloty i staje się 20 lub 30 kroków nad jamą, ale w największym spokoju. Po 15-tu minutach, a czasem i prędzej, lis sam z jamy ucieka. Jest to także sekret, o którym nie każdy myśliwy wie, że *lis atakowany przez psy w jamie, wynosi się, gdy tylko psy z jamy ustąpią.*

Jeżeli lis na nowiu chodzi po polu, to można go podjechać sankami jaknajbliżej, strzelić do niego bez względu na odległość i jeżeli można, puścić za nim psa jakiegokolwiek. Lis po strzale, lub gnany psami, ucieka do najbliższej jamy, gdzie go po torze można dojść i jamnikami wydobyć.

Lis strzelony, jeżeli upadnie, powinien natychmiast uderzony być kijem, lub dogryziony przez jamniki, zdarza się bowiem często, że leżący jako nieżywy na ziemi, nagle się zrywa i ucieka.

Kłusownik.

Do największych plag w myślistwie należy niezawodnie kłusownik. Rekrutuje się zwykle z ludzi z niższego stanu. Kłusownikiem zostaje albo z amatorstwa, albo z chęci zysku, a czasem z jednego i drugiego powodu. Według mojego przekonania, jest to najlepszy materyał do użycia przy tępieniu lisa. W dużych majątkach, gdzie są leśniczowie i gajowi, ci z obowiązku lisa tępić powinni, a jednak ileż razy czytać można w sprawozdaniach, że na zakładzie jednym zabito cztery lub więcej lisów! Jest to niedbalstwo gajowych, ale może większe samego właściciela. A cóż się dzieje dopiero na obszarach wydzierżawionych, gdzie dwa lub trzy razy na rok przyjeżdżają myśliwi, jeżeli jeszcze zdarzy się, że polują właśnie na pełni księżyca, kiedy wszystkie lisy siedzą w dzień w jamach, wtedy dziwią się, że tak mało zwierzyny, chociaż lisów niema.

Zużytkowanie kłusownika na lisy nie jest to mrzonka, gdyż ja sam przez kilkanaście lat z takim kłusownikiem polowałem. Strzelby nie używał, tylko siatki, psów i grubej, dębowej laski, i dlatego właśnie wszędzie polować było mu wolno. Znany był i lubiany przez myśliwych z kilku powiatów, obywatele byli zadowoleni, że im tępi lisy, włościanie zaś, poszkodowani przez lisy, z ochotą pokazywali mu nowe jamy.

Był bardzo wygodny dla wszystkich myśliwych, gdyż dla kilku jam lisich, które prawie każdy miał u siebie, nie potrzebowali trzymać jamników, ponieważ na każde zapotrzebowanie przybywał. Za to starano mu się o psy-jamniki, gdy którego ze swoich stracił, żeby miał zawsze komplet, a często wózek, który go odwoził, przywiózł mu trochę kartofli, lub ćwiartkę jakiego zboża.

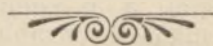
Bo też o człowieku takim trzeba pamiętać, żeby nietylko jego namiętność myśliwska zaspokojoną była, ale i żeby jego trudy materyalnie nagrodzone zostały. Ażeby sobie stworzyć takiego pomocnika, wiele zachodu nie trzeba. Bierze się go na polowanie, każe mu się stanąć z kijem nad jamą i mówi, że każdego lisa, którego kijem zabije, może sobie wziąć i skórę z niego sprzedać. Pierwsze trzy ruble, które weźmie za skórę, zachęci go, resztę zrobi chciwość i żyłka myśliwska.

Na wiosnę i w lecie polowanie takie nie jest uciążliwe, gdyż można wystać dłużej na jednem miejscu, ale podczas silnego mrozu lub śnieżnej zawiei, stać w jednem miejscu spokojnie i czekać, aż lis wyjdzie, to nie każdy myśliwy chce się na to poświęcić, a odejść nie można dotąd, aż póki lisa się nie zabije, inaczej psy najlepsze mogą się tak znarowić, że stracą zupełnie ochotę.

Najbardziej szczegółowo opisane polowanie na lisa nie jest w stanie podać wszystkich wypadków, które zdarzyć się mogą; praktyka sama najlepiej nauczy, trzeba się w tem „wyspecyalizować"; otóż tylko kłusownik w tych warunkach, jeżeli mu wszędzie polować będzie wolno, może dojść do tego.

* * *

Jeżeli coś niezrozumiale opisałem, a ktoś z panów myśliwych chciałby wytłumaczenia, albo zobaczyć siatki, lub sposób zakładania, to mieszkam: Saski Plac róg Królewskiej, i w każdej chwili żądanemi objaśnieniami służyć mogę.



Polowanie na wydry.

(Ciąg dalszy).

Gdy psy dadzą znać zjawianiem się o znalezieniu tropów, przedewszystkiem należy sprawdzić kierunek, w jakim wydra odbywała nocną wędrówkę, gdyż psy, jak to już wspomniałem, zarówno poszłyby pod trop, jak i za tropem. Jeżeli znajdziemy w tem miejscu odciski łap, kwestya rozwiąże się bardzo prosto. Ale często, z powodu twardości gruntu lub rosnącej trawy, tropy są niewidoczne; wtedy należy oryentować się podług nachylenia się traw pod czołgającem się zwierzęciem, albo podług pomiotu, który wydra zostawia, a który zawsze leży zwrócony cienkim końcem w stronę wędrówki zwierzęcia. Jeżeli jeden brzeg rzeczki jest wyższy od drugiego, to zwykle wydry, idące za biegiem wody, trzymają się brzegu

wyższego, a pod wodę—niższego. To także może służyć za wskazówkę kierunku nocnej wędrówki: zupełną jednak pewność mogą dać tylko odciski łap i zdarzyć się może, że myśliwi, zamiast poszukiwanej zwierzyny, znajdą opuszczone przez nią poprzedniego wieczora, legowisko. W takim razie nie pozostaje nic innego, jak powrócić do miejsca, w którem psy znalazły ślady przejścia wydry i rozpocząć poszukiwania w przeciwnym kierunku. Dla uniknięcia takiej niemiłej niespodzianki, dobrze jest w miejscach, w których można przypuszczać lądowanie wydry, rozrychlić i mocno zmoczyć ziemię wieczorem. Na tak przygotowanym gruncie odrazu rozpoznamy, czy zwierzyna przeszła i w jakim kierunku.

Gdy myśliwi i psy zbliżą się do legowiska, w ogromnej większości wypadków wydra opuszcza je i pogrąża się w wodę przy pierwszem podaniu głosu przez psa, który ją zawęszy. Dlatego właśnie nie można psów odpuszczać daleko od myśliwych, gdyż jest bardzo ważnem, aby ci ostatni mogli widzieć zwierzynę. Wtedy dwóch ludzi z pikami powinni jaknajspieszniej zająć miejsca w samem korycie rzeczki, jeden poniżej, a drugi powyżej legowiska i w odległości od niego od 30 do 150 kroków. Na stanowiska w wodzie powinni wybrać miejsca, o ile można, płytkie, żeby nie przepuścić około siebie zwierza niedostrzeżonego. W razie, jeżeli jest dostateczna liczba myśliwych, a szerokość rzeczki nieco większa, lepiej jest rozstawić po dwóch wartowników z każdej strony. Jeżeli woda wszędzie w pobliżu jest dość głęboka, należy zagrodzić koryto siatkami, mocno obciążonemi ołowiem, a wartownicy z pikami umieszczają się tuż za siatkami. Jednocześnie z zajęciem miejsc w korycie przez wartowników, pozostali myśliwi uwalniają psy od sfor lub klocków, poczem zachęcają je do prześladowania zwierzyny w wodzie, kierują niemi, a zarazem zwracają uwagę, ażeby wydra nie przemknęła się lądem obok miejsc zagrodzonych w rzece. Wydra z początku trzyma się pod wodą i przedewszystkiem stara się umknąć w kierunku swej wędrówki. Znalazłszy tam drogę zagrodzoną, zwraca się w stronę przeciwną, lecz i tam przejście jest zamknięte. Szuka więc ratunku w nurkowaniu, wystawiając tylko od czasu do czasu dla oddychania same nozdrza, a i to, o ile może, gdzieś pod urwistym brzegiem, pod wystającemi z wody korzeniami lub tym podobnie. Jeżeli miejsce jest dla wydry dogodne, takie uganianie się za nią na ograniczonej przestrzeni może trwać dość długo, czasami parę godzin. W końcu jednak zwierzę męczy się i potrzebuje oddychać swobodniej, wystawia więc całą głowę ponad wodą i wtedy psy mogą je atakować. Wydra znów nurkuje, lecz łeb musi wystawiać coraz częściej, a w końcu próbuje ucieczki czy to wodą przez miejsca ochraniane, czy też obchodząc je lądem. Wtedy jest najlepsza sposobność zakończenia pościgu przez nadzianie jej na pikę. Zdarza się czasami, że wydra chce odrazu sforsować miejsce zagrodzone, a wtedy polowanie kończy się znacznie prędzej, również za pomocą piki. Przebite zwierzę należy zatrzymać pogrążone ze łbem w wodzie, dopóki nie wyzionie ducha. Jeżeli wydra zdoła bezkarnie przemknąć się około jednego z wartowników, ten powinien tylko dać sygnał, a sam pozostaje na miejscu, drugi zaś powinien prędko, wyprzedziwszy zwierza, zająć dalej miejsce w korycie, tak, żeby wydra znalazła się znowu zamknięta z dwóch stron, i polowanie odbywa się dalej poprzednim trybem.

Angielscy sportsmeni, posiadający duże zgraje psów wydrowych, a także kontynentalni ich naśladowcy, polują nieco inaczej. Nie dozwalają oni mianowicie zakończenia łowów za pomocą piki; wydra musi być wzięta i zaduszona przez psy. Na takich polowaniach zagrodzenie koryta dopełnia się nie przez jednego lub dwóch ludzi z każdej strony, ale staje ich tylu, ilu stojących obok siebie pomieścić może szerokość koryta. Dwie te partye zbliżają się zwolna ku sobie, ścieśniając tym sposobem coraz bardziej przestrzeń dla łowów. Jednocześnie inni ludzie straszą nieustannie zwierzę z brzegów, uderzając kijami we wszystkie miejsca, w których wydra mogłaby niepostrzeżona zaczerpnąć powietrza, a przy każdem pokazaniu się jej wydając głośne okrzyki. Tym sposobem biedna ofiara prędzej się męczy, a widząc drogę, ze wszystkich stron zamkniętą, głupieje.

A. Sztolcman.

(*C. d. n*).

W PODRÓWNIKOWEJ AFRYCE 1905 r.

Niewydany Dziennik Podróży Pani Anny de la Motte Saint-Pierre

Z francuskiego tłómaczył

Jan Sztolcman.

(*Ciąg dalszy*).

13 sierpnia. Ruszamy w drogę jednocześnie z Massajami. Idą oni grapami, pędząc stada, złożone z tysięcy sztuk, które kierują nad jezioro Olbolosat. Stada te są pędzone przez dzieci i starców, którzy, wyszedłszy już ze stanu rycerskiego, stają się pasterzami; noszą oni lance, łuki i kołczany, których wielkość jest dostosowaną do wielkości indywiduum.

Wśród tej wędrówki narodów trudno jest spotkać się choćby nawet z gazellą.

Po sześciogodzinnym marszu znajdujemy się nareszcie w sąsiedztwie jeziora, które zdawało się ciągle oddalać, w miarę jak posuwaliśmy się naprzód. Rozbijamy obóz u stóp łańcucha Settima, na wysokości południowego końca jeziora Olbolosat, gdzie też natrafiamy na namiot, rozbity w niedalekiem sąsiedztwie. Misyonarz dowiaduje się przez Massajów, że należy on do p. Gilkisona, „district officera" okręgu Laikipia. Przybył on tu, aby sprawdzić, czy czasowe przesiedlenie się Massajów odbywa się prawidłowo, gdyż cała ta równina, po której wędrujemy, począwszy od Kipipieri (13390 stóp nad poziomem morza) została wypuszczona jakiemuś syndykatowi. Misyonarz zna p. Gilkisona i przedstawia mu nas. Staramy się następnie dostać nad brzeg jeziora, lecz po drodze liczne stada gęsi, zrywające się na wszystkie strony, tak nas absorbują, że noc zapadła, zanim dotarliśmy do brzegu. Z wycieczki tej przynoszą także bardzo ładną, małą sieweczkę, posiadającą prawdziwe ostrogi na skrzydłach.

14 sierpnia. Dzisiaj nie ruszamy się z miejsca, tylko Guy wraz z misyonarzem udają się o 5-ej rano na zasadzkę na hipopotamy. Udaję się łodzią o 7-ej na ich spotkanie, i po drodze po raz pierwszy słyszę w oddali ryk lwa.

Jakież było moje zdziwienie, gdy spostrzegłam Guy'a, idącego na moje spotkanie z zabitemi gęśmi, białemi ibisami i siewkami. Okazało się, że jezioro jest w tem miejscu okolone niedostępnemi błotami. Myśliwi musieli zadowolić się nasłuchiwaniem brodzących po trzcinach, hipopotamów. Decydujemy się przenieść nasz obóz więcej ku północy. P. Gilkison radzi nam posunąć się aż do rozgałęzienia się drogi (?!), prowadzącej do Laikipia. Objaśnia też nas, że jezioro Olbolosat przelewa się znacznie dalej do Guaso-Narok seryą wspaniałych wodospadów, które mamy zamiar zwiedzić z następnego obozowiska, jeśli czas na to pozwoli.

O 10-ej wyruszamy w drogę.

Przy pierwszem przejściu strumienia spostrzegamy na kwitnącym krzaku prześlicznego ptaszka bru

dno-czerwonego (*Drepanorhynchus Reichenowi*), który pada od strzału Guy'a, równie jak i cztery inne z tego samego gatunku, zabite nieco dalej.

Jezioro, w miarę zbliżania się ku górom, posiada brzegi coraz wyraźniejsze, aż wreszcie stają się one w zupełności dostępne, co pozwala Guy'owi i Henrykowi spuścić łódkę na wodę. Przywożą oni nurka i kurkę wodną, lecz wogóle ptaki te są bardzo trudne do podjechania i do zabicia. Guy miał zamiar wrócić na jezioro przed wieczorem, lecz potężna burza staje temu na przeszkodzie; zjadamy więc obiad i kładziemy się spać.

15 sierpnia. Ponieważ Guy wyrzekł się hipopotamów z jeziora Olbolosat, wyruszamy dzisiaj w drogę. Tym razem należy skończyć z łańcuchem Monts Aberdare, które przebywamy nareszcie i dostajemy się na płaskowzgórze, a ztąd do niewielkiej doliny, pokrytej bardzo urozmaiconą roślinnością. Porzuciwszy tę dolinę, wkraczamy znów na równinę, gdzie Guy zabija antylopę Jacksona i zebrę. Przedtem uganiał się napróżno za trzema strusiami. Rozbijamy obóz w miejscowości bardzo otwartej, zkąd można już widzieć górę Kenia.

16 sierpnia. O kwadrans na 7-ą rano budzi nas Guy, aby pokazać nam górę Kenię! Jest to urwisty szczyt, wznoszący się z imponującej podstawy. Bardziej ku południowi widać doskonale Kinankop.

O pół do 8-ej wyruszamy w drogę, mając za przewodnika Ongwatochę. Doprowadza on nas do Pacey-Swamp, zamiast do miejscowości, oznaczonej na obozowisko. Nareszcie Guy odnalazł ślady karawany, z którą możemy się złączyć. Wszędzie widać mnóstwo tropów wielkich antylop (elands) i nosorożców. Spostrzegamy wielkie stado m'palahow (*Epyceros melampus*) i kobów. Podczas śniadania dokucza nam strasznie upał, lecz burza szybko nadciąga. Zdaje się nawet, że jest ich dwie, a my znajdujemy się w punkcie ich spotkania. Trudno jest sobie wystawić skutki tej nawalnicy. Namiot Henryka został zamieniony na prawdziwą kąpiel, a wszystkie ognie zagaszone. Lepiej byłoby zapomnieć o tych wszystkich szczegółach, gdyby na rozkładzie nie było jednego m'palaha i jednej gazelli Granta.

17 sierpnia. Ja pozostaję w obozie, gdy Guy udaje się w pościg za 15 elandami (*Taurotragus oryx*), aby po dłuższym czasie przekonać się, że są to same samice, z których jedna posiada wspaniałe rogi. Trzymał on ją na celu przez kwadrans na odległość 100 metrów. Spostrzegłszy stadko oryxow (*Oryx beisa*), złożone z czterech sztuk, puszcza się za niemi, rani ciężko jednego z nich, lecz wkrótce gubi jego tropy. Podczas tej wycieczki widział mnóstwo antylop Thomsona, antylop Granta, m'palahow, szakali, phacocherów, żórawi czubatych, marabutów, lecz przyniósł do obozu tylko jedną antylopę Granta.

Próbuję zastawiać potrzaski na ptaki, lecz taka jest obfitość szarańczy, że nic złapać nie mogę. Szarańcza ukazała się w postaci różowego obłoku, który dziwnie odbija na ciemno-szarem tle chmur burzowych.

18 sierpnia. Rysuję dziś jedno z drzew przy naszym obozie. Jest to jeden z najbardziej udałych okazów kolczastej roślinności. To też widać na niem mnóstwo gniazd; ptaki wiedzą doskonale, gdzie lokować swoje jaja i młode.

Guy powraca z wyprawy. Strzelał dwukrotnie bez skutku do rekordowej antylopy Granta, zabił jedną antylopę Thomsona, postrzelił inną antylopę Granta i uganiał się napróżno za czubatemi żórawiami i marabutami. Spotkał on także to samo stado elandów, do którego przyłączył się stary samiec, lecz miał go do tyłu na odległość 250 metrów. Widział też postrzelonego przez siebie oryxa. Na rozkładzie, oprócz antylopy Thomsona — jeden strepet i jeden steinbuck (*Raphiceros campestris*).

(*C. d. n.*).

MYŚLIWY BEZ RĄK.

Myśliwy z jednem tylko ramieniem zdrowem, względnie z jedną ręką, nie są bynajmniej wielką rzadkością, a dosyć często słyszymy, że tacy panowie są prawdziwie dobrymi strzelcami; że jednak znalazł się człowiek, *pozbawiony zupełnie obu rąk*, a który jest nietylko wybornym myśliwym i strzelcem, lecz nawet utrzymuje się zawodowo z myślistwa,—to z pewnością, jeżeli nie jedyny na świecie, w każdym razie nader rzadki wypadek, mogący zainteresować zarówno myśliwych, jak i ogół cały.

O wypadku takim donosi „Der Deutsche Jaeger", który pisze:

Będący obecnie myśliwym zawodowym, *Tomasz Keller w Dosingu*, stracił obie ręce w roku 1882, mając lat 21; sieczkarnia zgniotła mu dłonie, wskutek czego należało dokonać amputacyi. Ponieważ Keller był ubogim parobkiem wiejskim, radzono mu często, aby się oddał pod opiekę jakiego towarzystwa dobroczynności, jako człowiek niezdolny do pracy. Ale Keller był za ambitny na to, żeby korzystać z czyjejś łaski. Idąc za popędem natury, zaczął, po zupełnem wyzdrowieniu, towarzyszyć często sąsiadowi, zawodowemu myśliwemu, w jego wycieczkach myśliwskich i w końcu, przed upływem roku od nieszczęśliwego wypadku, udało się Kellerowi otrzymać skromną posadę dozorcy rewiru myśliwskiego w pobliżu dotychczasowego miejsca zamieszkania. Jednocześnie starał się o uzyskanie przy rękach czegoś, coby mogło częściowo zastąpić ich funkcyonowanie. Przyprawiono mu też przyrząd haczykowaty, podobny do obecnego, przezeń obmyślonego. Mając tę konstrukcyę, zaczął powoli próbować ćwiczenia się w strzelaniu przy pomocy tego przyrządu u rąk i w przeciągu roku doszedł do znakomitej wprawy. W r. 1893-im rentyer Buxbaum z Augsburga zakupił cały las z rewirem myśliwskim i zostawił w nim na posadzie dozorcę Kellera.

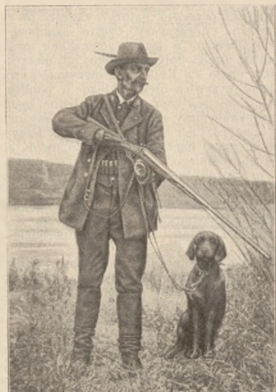
Obecnie ma on przyrząd ulepszony wprawdzie, ale jeszcze ciągle bardzo prymitywny, który zastępuje stracone ręce. Przyrząd składa się przedewszystkiem z węża skórzanego ze sprzączkami, który obejmuje szczelnie tylną połowę ramienia górnego i służy do utwierdzenia całego przyrządu; dalej wiązadło skórzane utrzymuje wokoło stawu łokciowego ruchome połączenie z drugą sztylpą skórzaną, obejmującą dolną część barki, a w której tkwi koniec ramienia. Dolny koniec sztylpy posiada deszczułkę z metalowem okuciem, gdzie z lewej strony mieści się zwyczajny haczyk, a z prawej nóż o jednej klindze, oraz z krótszym haczykiem, wszystko składane.

Za pomocą tego, nader prostego aparatu, Keller umie nietylko dobrze i zręcznie strzelać, lecz także urządzać swe, dosyć znane, środki pomocnicze, zastawiać żelaza talerzowe i t. d., oraz chodzić koło swego gospodarstwa; przy oraniu np. każe sobie obie sztylpy przyprządz do rękojeści pługa. W ten sposób także sam niesie jadło do ust, przyczem jednak trzeba mu w każdym razie mięso najprzód pokrajać, a przy pomocy pewnych środków dodatkowych, załatwia doskonale liczne czynności życia powszedniego, jak podpisać się, zapałkę trzeć o pudełko, władać chustką do nosa, zażywać tabakę, palić fajkę, a nawet nalać sobie i wypić szklankę piwa! Dużo oczywiście dopomagać mu musi żona, K. bowiem jest już drugi raz żonaty i ma dwoje dzieci.

Broń Kellera jest zbudowana normalnie z osadą, jedynie w przedniej części antaby u cyngla jest umocowane ujęcie, odchylone ku przodowi, prostokątne, w które K., szykując się do strzału, wkłada mocno koniec lewego ramienia i przez to dobrze utrzymuje broń w każdym kierunku. Ażeby dać ognia, K. ujmuje haczykiem prawego urządzenia na ręce za nos

kolby (zob. rysunek) i podnosi w ten sposób broń obu ramionami do twarzy. Natychmiast potem uwolnionym haczykiem prawym odwodzi kurek, jak każdy inny strzelec. Wystrzelone naboje K. wyjmuje tym samym haczykiem, poczem wydobywa świeże z pasa tym samym swoim instrumentem uniwersalnym, bierze je między zęby i kładzie zębami w łożysko. Wszystko to odbywa się nadzwyczaj szybko i zręcznie! Keller jest przytem także dobrym strzelcem kulowym. Strzela, jak każdy myśliwy; jedynie cyngiel cały stoi trochę inaczej, niż u każdej strzelby karabinowej; ubija zaś rok rocznie nietylko kilka kozłów kulami, lecz nawet zdobył już na polowaniach królestwo wiele razy, mając silną konkurencyę. Zresztą bije on rocznie od 100 do 150 kuropatw, tyleż prawie zajęcy, oraz bażanty, liczną zwierzynę drapieżną i t. d. K. np. osiągnął już wybitny niewątpliwie rozkład, obejmujący 20 kuropatw przez jedno popołudnie.

Przedewszystkiem jednak jest K. wybitnym i energicznym nadzorcą ochronnym rewirów i jako taki, otrzymał już wielokrotnie nagrody od związków myśliwskich. Wystarczy powiedzieć, że w roku 1886, z powodu jego czujności, skazano kłusownika na 14



dni aresztu, w r. 1893 — jednego na 4 miesiące, w r. 1895—dwóch po 4 miesiące (jednego z nich K., w konieczной potrzebie obrony własnej, postrzelił ciężko), w r. 1897—jednego na 9, a drugiego na 3 miesiące, wreszcie w r. 1902—jednego na 2, a dwóch po 3 miesiące. Oczywiście, że z powodu tak gorliwej służby, ma on wielu wrogów pomiędzy kłusownikami, którzy czyhają na jego życie. Tembardziej przeto należy cenić nieustraszoną odwagę człowieka, tak okropnie upośledzonego.

Dodać jeszcze należy, że Keller jest także wybornym hodowcą psów, szczególnie niemieckich krótkowłosych i ostrowłosych jamników, tudzież dobrym i godnym zaufania treserem. Materyału do hodowli i układania dostarcza mu Augsburski związek ulepszenia hodowli psów rasowych. I wogóle jak kto oddaje Kellerowi psa do tresowania, może być spokojny, że będzie miał dobrze ułożonego psa. To też postać Kellera jest bardzo popularna w całej okolicy Augsburga, zwłaszcza śród myśliwych.

O.

Józef hr. Potocki.

Notatki myśliwskie z Dalekiego Wschodu.

CEJLON.

(Ciąg dalszy).

Nad słonem jeziorkiem ubiłem dwa białe szczudłaki czerwononogie, czarnoskrzydłe z czerwonemi oczyma (Himantopus candidus) i w kłombie tarniny udało mi się strzelić koguta leśnego, który, wskutek swego uderzającego podobieństwa do swojskiego kuraka, dziwne robi wrażenie na tle dzikiej dżungli.

Wązka ścieżynka wyprowadziła nas na sam brzeg morza i, wdrapawszy się na stromy pagórek, mieliśmy przed oczyma najpyszniejszy krajobraz, jaki sobie wystawić można.

Słońce miało się ku zachodowi. Ognista jego kula znikała za horyzontem, gdy równocześnie srebrna tarcza księżyca wynurzała się z oceanu, który go przestwór mieliśmy przed sobą. Za nami, jak daleko okiem sięgnąć, jedno nieprzerwane morze zieloności; hen, daleko w głębi wyspy, na tle horyzontu rysują się niebieskawe kontury górskiego łańcucha, w którym oko więcej odgaduje, aniżeli odróżnia wysoki szczyt Adama. To limita dżungli, pozatem kraj ludny i cywilizowany.

Fale z łoskotem dalekiego grzmotu rozbijają się o granitowe skały wybrzeża, rozpryskując się na miliardy atomów białej piany. Czarne głazy granitu wyraźnie się odbijają od białego piasku wybrzeża, na którem widać liczne tropy słoni i przeróżnego zwierza.

Jednostajny, nigdy nieustający szum morza zlewa się z panującą wokoło ciszą w całość jakiegoś dziwnie przejmującego spokoju natury, niezmąconego żadnym głosem, psującym urok kompletnej ciszy tego ziemi kawałka.

Kto nie widział podobnego krajobrazu w tem oto czeniu wspaniałej przyrody w bliskości mateczników najgrubszego zwierza, nie pojmie może tego dziwnego uczucia, niezwykłego jakiegoś czaru i uroku, które każdego, a szczególnie myśliwego przejmuje wobec majestatu dziewiczej przyrody. Wzrok sięga daleko przez dżungli przestworza, jakby pragnąc przeniknąć najskrytsze jej tajniki; rozbudzona wyobraźnia łączy się z myślą, przebiegającą lotem błyskawicy bezdenne przestrzenie, dzielące te ziemie od własnego kraju; mimowolnie ogarnia człowieka uczucie strasznej samotności, której ciszę przerywa tylko niekiedy grzmotu łoskot, lub wycie wichru z bezbrzeżnego oceanu.

Odurzeni wrażeniem jedynego w swoim rodzaju obrazu, zatopieni w myślach, wracaliśmy do kwatery, gdy niemiły wypadek zakończył tak przyjemny nasz spacer.

Szliśmy oboje naprzód, za nami Soult, niosący mój ekspres mniejszego kalibru, i liczna świta z bronią i amunicyą. Wtem Soult jęknął przeraźliwie i, obejrzawszy się, zoczyłem, jak oburącz uchwyciwszy strzelbę za lufę, kolbą o ziemię uderzył. Biedny mój sztuciec pękł w rękojeści na dwoje, a znikający w zaroślach ogon dużego węża wyjaśnił mi całe zdarzenie.

Soult omal nie stąpił na leżącego wpoprzek ścieżki, jadowitego węża, zwanego po krajowemu Tikpolonga (Vipera Russelii), o którym mówią, że skacze, jak pies, na swą ofiarę i śmiertelnym jadem ją zatruwa. Bosi krajowcy boją się panicznie tego niebezpiecznego gada, czemu się zresztą dziwić nie można. Soult tak się przestraszył na widok węża, który, jak mówi, ku niemu podskoczył, że straciwszy głowę, nie

mając w ręku innej broni, sztućcem chciał go uderzyć. Wąż umknął i skrupiło się na biednym mym ekspresie Lebedowskim, który szesnaście lat służył mi wiernie i celnie, od kiedy strzelbę nosić się nauczyłem, aż do obecnej chwili; zawsze go w kraju używam i każdą niemal sztukę ubitej, grubej zwierzyny jemu zawdzięczam. Szczerze mi się żal zrobiło poczciwego towarzysza tylu wspomnień myśliwskich, który na obcej ziemi, w ręku niezdarnego Syngaleza swą karyerę zakończył. Pocieszam się myślą, że w Europie odżyje z nową kolbą w warsztacie Lebedy lub Springera.

Soult mocno się zawstydził swego nieprzytomnego zachowania się, które ostatecznie sensu nie miało, bo wystarczyło od węża w bok uskoczyć, a nie narażać cennej broni, która, uderzając całą siłą o twardy grunt skalisty i będąc nabitą, mogła mu prosto w piersi wypalić, a w każdym razie pęknąć na dwoje. Szczęście, że to nie gruby kaliber na słonie uległ katastrofie, bo go nie mógłbym zastąpić; ekspres zaś posiadam drugi, bardzo ciężki, z którego jednak nigdy dotąd nie strzelałem.

19 lutego. Dziś znowu posuwamy się kilka mil naprzód, do miejscowości, zwanej Butawa, gdzie na nocleg, w braku rest-housu, pod namiotem rozłożyć się mamy. Opuszczamy Palatupana przed wschodem słońca, a żona moja z całym taborem ma prosto do Butawy pociągnąć.

Szaro jeszcze było, gdy stadko jeleni-axis ruszyło przed nami, za daleko do strzału. Cicho i ostrożnie wychylamy się na otwarte miejsca, wysoką trawą zarosłe, i zaglądamy do licznych wodopojów, które w postaci albo zwykłych kałuży z resztą deszczowej wody, albo jako ładne jeziorka w malowniczym pierścieniu ciemnej knieci gęsto po dżungli są rozsiane.

Trudne to zadanie opisać dziką miejscowość tak dokładnie, by czytelnik mógł odrazu uzmysłowić sobie dany krajobraz z właściwemi jego cechami, szczególnie gdy ramy i sam obraz tak całkowicie i zasadniczo różnią się od wszystkiego, co się zwykle w Europie ogląda i spostrzega. A jednak sądzę, że w opowiadaniu myśliwskiem z egzotycznych krain, opis miejscowości jest koniecznym warunkiem, aby uniknąć choć w części nudnej jednostajności suchego wyliczania zdarzeń i wypadków, które, zdaniem mojem, nie potrafią w czytelniku - myśliwym rozbudzić zajęcia, jeżeli są podane bez tła, na którem się odgrywają. Dlatego staram się zawsze przy opisie danego epizodu oddać, o ile mogę dokładnie, odpowiednie szczegóły miejscowości i otoczenia, a jeżeli niewprawne pióro nie zdoła oddać myśli w należytej formie barwnego obrazu, łaskawy czytelnik wybaczyć mi raczy.

(*C. d. n.*).

STRZELANIE DO GOŁĘBI.

Londyn.

Ponieważ strzelanie do gołębi zostało zniesione w londyńskim Hurlingham Club, przeto w roku bieżącym międzynarodowy konkurs strzelania do gołębi odbył się tylko w Gun Club'ie, przy bardzo licznym udziale strzelających, przeważnie jednak Anglików. Z cudzoziemców brali w nim udział pp. Journu, Moncorgé, baron de Gourgaud, Merlin, Avril (Francuzi), Sturms, baron de Dorlodot, Moremans (Belgijczycy), książę de Chimay (Węgier), Salvago (Grek), Randolph (Yankee). Konkurs rozpoczął się 25 czerwca i trwał cały tydzień. Do najciekawszych należał *handicap*, rozegrany w d. 27 czerwca. W puli tej znany piżonista francuski, p. Journu (jeden ze zwycięzców *Grand Prix du Casino* w Monte Carlo), strzelając na 29 yardów, w dwóch seryach zabił $^{36}/_{38}$ strzelanych gołębi, zdobywając $^{2}/_{3}$ zjednoczonych trzech pierwszych nagród — razem 160 £; $^{1}/_{3}$ tych nagród w sumie 80 £ wziął p. Avril (również Francuz), mając $^{18}/_{18}$ zabitych gołębi. Czwartą nagrodę (10 £) zdobył p. Forden (Anglik).

D. 30 czerwca rozegrany został *Star Handicap*, w którym nagrodą (301 £) podzielili się pp. Forden ($32^{1}/_{2}$ metra) i S. Kennedy (24 metr.), zabiwszy po $^{19}/_{20}$ gołębi.

D. 3 lipca rozegrano *Champion I £ Sweepstakes*. Warunki: 20 gołębi, z których 10 na 28 yardów i 10 na 30 yardów.

I-ą nagrodę (80 £ i puhar) zdobył p. Forden, zabiwszy wszystkie 20 gołębi.

II-a nagroda (40 £) dostała się p. C. Colier, który miał $^{19}/_{20}$ zabitych gołębi.

III-ą zaś nagrodą (15 £) podzielili się pp. baron de Pallant i T. H. Roberts, mając po $^{18}/_{20}$ zabitych gołębi.

Wogóle w ciągu tygodnia, w którym trwał londyński konkurs międzynarodowy, najlepszą formę wykazali pp. Journu, H. Barker i Forden, szczególniej zaś ten ostatni, gdyż na 133 strzelanych przez siebie w różnych pulach gołębi, miał 120 zabitych.

Korespondencye „Łowca Polskiego".

Ciekawe bastardy.

Elżbietów (pow. sokołowski) *w lipcu.*

Mam zaszczyt zakomunikować Szanownej Redakcyi fakt, który, jak sądzę, zainteresować może czytelników „Łowca Polskiego". Jeden z urzędników cukrowni Elżbietów, p. G., zauważył u siebie na podwórku indyka, łączącego się ze zwyczajną kurą domową. Kura jest duża, szara, pochodząca, jak się zdaje, z krzyżowania koguta pospolitego z kurą rasy Plymonth-Rock. Ponieważ na podwórku koguta nie było, p. G. polecił zbierać starannie jaja od łączącej się z indykiem kury i podsadził je pod indyczkę. Z jaj tych wylęgło się dwoje kurcząt, których nie widziałem, więc ich opisywać nie mogę; natomiast z siedmiu jaj, podarowanych przez p. G. sąsiadowi memu, p. W., wylęgło się czworo kurcząt, z których dwa noszą wybitne cechy mieszańców. Głowy mają upstrzone plamami, jak młode indyczki, chód zupełnie inny, niż wylęgnięte razem z niemi kurczęta zwyczajne, zaś z układu skrzydeł i ogona przypominają młode indyczki. P. W. obiecał podarować mi dwoje kurcząt, noszących wybitniejsze cechy krzyżowania, które wezmę pod obserwacyę i, jeżeli się wyhodują, nie omieszkam o dalszych ich losach powiadomić Redakcyę „Łowca Polskiego", oraz nadesłać ich fotografię. Charakterystycznem jest w danym wypadku to, że jaja, z których wylęgły się owe bastardy, zbliżone były wyglądem do jaj indyczych, były bowiem duże, długie i słabo nakrapiane. Żałuję, że nie dostałem jednego z jaj tych, byłbym je, po wydmuchaniu, przesłał do Redakcyi.

Stefan Ruszkiewicz.

Wykazy Myśliwskie.

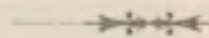
W dobrach Międzyrzeckich (gub. siedlecka) JE. hr. Andrzeja Potockiego ubito w r. 1905/6, a to od 1 lipca do 30 czerwca, zwierzyny użytecznej i drapieżnej: 2 kozły, 11 zajęcy, 1 dziką gęś, 132 kaczek-krzyżówek, 12 kaczek-cyranek, 2 słonki — razem 160 sztuk zwierzyny użytecznej. Szkodników: 27 lisów starych, 13 lisów młodych, 10 kun starych, 5 kun młodych, 137 psów, 3 łasice, 39 kotów, 2 tchórze, 5 wiewiórek, 3 czaple, 44 bocianów, 121 jastrzębi,

23 kruki, 39 srok, 211 sójek, 574 wron — razem 1,246 sztuk. Ogółem sztuk 1,406.

Przytem z ręki kłusowników padło dwa dziki i jeden kozioł.

W r. 1905 u margrabiego Al. Pallaviciniego w jego majoracie Windscent-Algyö na Węgrzech ubito zwierzyny użytecznej: 99 sarn, 11,703 zające, 2,253 bażantów, 2,562 kuropatw, 2 dzikie gęsi, 33 kaczek, 21 przepiórek, 128 dzikich gołębi—razem 16,801 sztuk. Szkodników: 6 lisów, 223 psów, 158 kotów, 197 tchórzy, 41 łasic, 1,974 jeży, 2 orły, 259 myszołowów, 233 krogulców, 750 srok, 807 wron — razem 4,650. Ogółem 21,451 sztuk.

W rewirach własnych i dzierżawionych arcyksięcia Franciszka Ferdynanda austryackiego ubito w r. 1905 zwierzyny użytecznej. Ssących: 85 jeleni-byków, 74 łań, 29 cieląt, 93 danieli-byków, 102 danielic, 60 danieląt, 218 sarn-kozłów, 241 kóz, 6,212 zajęcy, 3,423 królików; ptaków: 24 głuszców, 41 cietrzewi, 2,827 bażantów, 5,020 kuropatw, jarząbka, 2 przepiórki, 45 dzikich gęsi, 137 kaczek 14 słonek, bekas, 377 mew — razem 19,026. Szkodników: zwierząt ssących: 3 wydry, 178 lisów, 8 borsuków, 39 kun, 289 tchórzy, 716 łasic, 389 chomików (skrzeczków), 260 psów, 514 kotów, 555 jeży, 3,719 wiewiórek; ptaków: 1 orła, 35 sępów i myszołowów, 92 jastrzębi, 214 sokołów i krogulców, 8 czapli, 223 sowy, 692 dębosieków, 2,783 wron i srok, 602 dzierzb—razem 11,320. Ogółem 30,346.



Drobiazgi myśliwskie.

Pozwolenie na broń. W wydawaniu pozwoleń na posiadanie broni w Warszawie zaprowadzono znaczne ułatwienie. Obecnie z polecenia oberpolicmajstra, zaniechano wysyłania próśb takich do cyrkułów, w celu zebrania o petencie informacyj policyjnych. Prośby o broń kierowane są wprost do wydziału spraw sekretnych. Manipulacya taka zyskuje na czasie.

Zajście z panterą. Znanego literata, p. Zygmunta Bartkiewicza, korespondenta paryskiego do pism polskich, spotkał przykry wypadek. Pan Bartkiewicz w ostatnich latach zajmuje się badaniami nad życiem dzikich zwierząt i w tym celu często przebywa w paryskim ogrodzie zoologicznym. Niedawno p. Bartkiewicz wszedł do klatki pantery, która zresztą zawsze była łagodna; zwierzę niespodziewanie rzuciło się do p. Bartkiewicza i dotkliwie go pokaleczyło. Paru gości z trudem wyrwało p. Bartkiewicza z pazurów dzikiej bestyi. P. Bartkiewicza umieszczono w pobliskim szpitalu. Okaleczenia są, na szczęście, powierzchowne, wypadek cały skończył się na pamiątce, w postaci śladów pazurów pantery.

Kolekcya rogów w ziemi. W Krakowie robotnicy miejscy, kopiący dół głęboki na rogu ulic Straszewskiego i Smoleńskiej, koło plant, natrafili w głębokości dwóch metrów poniżej poziomu ulicy, na dziwne zbiorowisko rogów i kości dzikich zwierząt. Są tam rogi prawie już skamieniałe, a więc z górą chyba tysiąc lat przebywania w ziemi wykazujące, spłaszczone rogi łosiów i danieli, tudzież, jak się wydaje, żubrów i turów, które to zwierzęta w okolicach tutejszych od bardzo dawna istnieć przestały, a więc szczątki ich w tem miejscu mogą sięgać czasów przedhistorycznych; dalej kły dzików i różne inne kości zwierząt dzikich, któreby przyrodnik łatwo mógł rozpoznać i poklasyfikować. Mimowoli nasuwa się pytanie: zkąd one się tam wzięły w takiej liczbie? Robotnicy, kopiący dół, wnioskują, że w czasach, gdy na miejscu, gdzie teraz jest Kraków, były jeszcze dzikie puszcze, sprawiono tu chyba olbrzymie łowy, a potem ucztę z ubitych zwierząt, kości zaś z nich tu razem pozostawiono, które potem rzeka wylewami swojemi stopniowo zamuliła, na co zdaje się wskazywać rodzaj gruntu kopanego, który wyraźnie wykazuje namulisko rzeczne. Może to przypuszczenie ludzi prostych zupełnie być trafnem, jeden jednak z kawałków spłaszczonego rogu łosia lub daniela, przyniesiony do redakcyi „Czasu", wykazuje u nasady pewien rodzaj obrobienia kanciastego, które jest z pewnością dziełem ręki ludzkiej.

Strajk łowców. W kantonie genewskim odbył się strajk najoryginalniejszy, jaki kiedykolwiek mógł się zdarzyć. Kanton ten trapiony jest przez niezliczoną ilość węży jadowitych, pochłaniających corocznie masę ofiar ludzkich. Wskutek tego władze kantonalne wyznaczyły nagrodę 1 lira za każdego zabitego węża. Wielu ludzi trudniło się tem, zarabiając do 800 lirów rocznie. Obecnie władze zmniejszyły cenę do pół lira, wobec czego łowcy wężów zastrajkowali.

Niebezpieczeństwo piorunu w lesie. Rozpowszechnione mniemanie, że w lesie grozi większe niebezpieczeństwo uderzenia piorunu, jest właściwie niesłuszne. Doświadczenie uczy raczej, że w obrębie gęstego lasu o drzewach mniej więcej równej wysokości, uderzenia piorunu zdarzają się o wiele rzadziej, niebezpieczeństwo jest większe tam jedynie, gdzie między drzewami znajduje się pusta przestrzeń obszerniejsza, albo gdzie poszczególne drzewa znacznie wyrastają, sterczące nad otoczeniem. Mnogość wierzchołków drzew, znajdujących się na równym poziomie, działa raczej wyrównująco na naprężenie elektryczne. Pozatem piorun, uderzający w lesie, zawsze trafia w drzewo i schodzi po jego korzeniach w ziemię. Niebezpieczeństwo przeto nie jest wielkie dla człowieka, znajdującego się między drzewami w lesie. Znacznie większe niebezpieczeństwo przedstawia drzewo, samotnie stojące, i wogóle każdy przedmiot, wystający po nad otoczeniem, stanowiąc jego punkt najwyższy.

Arcyksiężna Izabella miała niezwykle trofea na ostatniem polowaniu, które odbywało się przez trzy dni w okolicach Cieszyna, na Szląsku austryackim w rewirze Wisła. Polowano tam rankiem na głuszce w czasie gry, przyczem pierwszego dnia arcyksiężna ubiła cztery, a drugiego *aż sześć* głuszców. Razem ubito w tym rewirze w czasie gry 93 głuszce.

Nowe sztucery automatyczne Winchestera, model 1905, kaliber 35=8,89 mm. *Winchester Repeating Arms Comp.* wypuścił 2 nowe sztucery automatyczne (kal. 32 = 8,13 mm. i kal. 35=8,89 mm., które różnią się tylko kalibrem. Nowy system ma zamknięcie sprężynowe, zasadniczo znane z pistoletów Browninga. Lufa jest nieruchoma, a jedynie ciśnienie gazów prochowych odpycha zamknięcie, wywołując dalsze działanie mechanizmu. Na zamknięcie działa przeto jedynie własny ciężar bloku zamknięcia i sprężyna zamknięcia. Długość luf, razem z łożyskiem nabojów, wynosi 56 cm., długość całej broni—101 cm. Waga broni około 3,4 kg. Gilza ładunku kal. 35 jest długa 29 mm. Mieści 0,65 g. amerykańskiego prochu pierścieniowego i przyjmuje pocisk w płaszczu miedzianym (pełnym lub częściowym) wagi 11,7 g. Broń jest niezwykle prostej konstrukcyi, lufa łatwo się zdejmuje. Magazyn mieści 5 nabojów. Do uruchomienia mechanizmu przy wprowadzeniu pierwszego naboju do lufy, oraz do wyładowania, służy zasówka, wystająca z osady przedniej. Funkcyonowanie broni przy próbie było dobre, trafność bardzo dobra (na 10 strzałów na 80 m. = 6 cm. rozrzucenia). Prędkość wynosi średnio v. 25 = 400 ms., energia pocisku = 95 mkg. Dla sarny sztucer wystarcza, dla grubszej zwierzyny — nie. Oczekiwane jest wkrótce wypuszczenie sztucera automatycznego z zasuwkowem zamknięciem systemu Browninga, magazyn skrzynkowy z 5 strzałami, kal. 8,9 mm., prędkość pocisku przeszło 600 ms.

Działanie saletry chilijskiej. Że zjadanie koniczyny świeżo po rozsypaniu nawozu powyższego działa trująco na sarny, zające, kuropatwy, bażanty i t. d., należy sądzić z następującego zdarzenia: Pewne gospodarstwo w Turyngii poleciło służbie wyprać worki po saletrze chilijskiej w korycie; woda stała potem na dworze. Gdy wypuszczono owce z owczarni, pewna ich liczba ugasiła pragnienie w tej wodzie, w następstwie czego zdechło 7 sztuk owiec.

Psy morskie. Polowanie na psy morskie na wybrzeżu morza Północnego, dało, podług sporządzonej statystyki rozkładu, w r. z. 957 sztuk, z czego upolowano w Sylt 94, Hooge 165 i Amrum 95.

Oswojone łosie. W lasach Papusebienen, pod Mehlankien, w Niemczech, hodowca zwierzyny nabył dwa młode łosie, które sam wychował i karmił je tak, że są teraz zupełnie oswojone.

Widoki myśliwskie na 1906/7 rok. Z niektórych okolic Niemiec donoszą, że po kilku niedobrych latach na zające, tym razem spodziewany jest obfity przybytek młodych, przyczem zajączki pierwszego miotu są już tak rozrosłe, że zdaleka trudno je odróżnić od starych. Natomiast kuropatwy znowu się nie udały, wyniszczyły je bowiem deszcze. Znajdują dużo gniazd po 8 do 16 jaj, opuszczonych przez kury, które nie chciały ich wysiadywać z powodu deszczu. Najlepiej się dzieje z bażantami i ich gniazdami w polu. Udały się za to młode lisy, które w kwietniu były już takie duże, jak koty.

15 lisów z jednej nory. Pod Neuenfeld w Niemczech myśliwy zastrzelił lisa-samca w pobliżu nory, z której potem wykopał za pomocą jamnika 15 młodych; liszka-matka złapała się nazajutrz w żelaza.

Pień z rogiem jelenim. W Tyrolu znaleziono pień drzewa z wrośniętym rogiem jelenia-dwudziestaka. Przypuszczają, że jeleń został rzucony przez lawinę w drzewo, w którem róg utkwił.

Dwa kozły jednym strzałem. Podczas polowania, urządzonego przez Kolońskie Tow. myśliwskie, jeden z uczestników miał tak wyjątkowe szczęście, że jednym strzałem ubił dwa kozły, walczące z sobą.

Tępienie zwierzyny w Neufundlandyi. Z Montrealu (Kanada) donoszą, że tam zaczęło się tępienie Karibous, pięknego gatunku jeleniowatego, pokrewnego reniferom, a przebywającego na południowo zachodniem wybrzeżu wyspy w pobliżu Cing Cerf-Bay. Rząd starał się przeciwdziałać tej rzezi, dokonywanej dla skóry i rogów zwierzęcia, ale bezskutecznie. A tymczasem tysiące tych zwierząt padają ofiarą chciwości ludzkiej. Obławnicy wpędzają Karibous do wybrzeża, zalanego wodą, w której łowią te zwierzęta często żywcem. Świadkowie naoczni opowiadali przedstawicielom rządu w St. John, że koło Cing Cerf leżą góry mięsa tej zwierzyny, które mogłoby wykarmić całą armię. Prawo myśliwskie, ustanowione przez rząd w Neufundlandyi, jest nawet dosyć ostre, ale dla cudzoziemców tylko, którzy muszą płacić 50 dolarów rocznie za świadectwo, a mogą ubić najwyżej 3 sztuki, krajowcy zaś mogą tępić zwierzynę, ile im się podoba. Dozwolony czas polowania na Karibous zaczyna się d. 1 sierpnia i kończy d. 30 września, a potem można znowu polować na nie od 1 listopada do 31 stycznia, lecz dla krajowców to prawo istnieje tylko na papierze. Jeżeli rząd nie wystąpi z ostremi środkami, Karibous znikną zupełnie z wyspy, tem bardziej, że przed 10-ciu laty zbudowano tam kolej, ułatwiającą wywóz zwierzyny.

Między myśliwymi. — Mój brat tak świetnie naśladuje głos kozła, że wnet zjawiają się kozy.

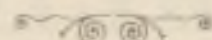
— A ja to ci potrafię kuropatwy zwabić.

— To nic, mój stryj to ci tak potrafił naśladować słowika, że zamieszkały obok poeta począł zaraz kreślić wiersze miłosne!

— Co to wszystko znaczy! Syn mój tak naśladuje pianie koguta, że tylko patrzeć, jak słońce wschodzi!

„Jak psu“. — Dlaczegoś, Janie, wezwał do naszego pana weterynarza?

— Bo pan całą noc narzekał, że mu, jak psu, zimno.



PRZYSŁOWIA MYŚLIWSKIE.

Zebrał z „Księgi Przysłów“ J. O. *(C. d.)*.

Las.

50. Jedź na bory, na lasy.
51. Gospodarzu, już czas: koniczyna gdyby las.
52. Koń w gębie zraniony, człowiek w majętności ukrzywdzony, niedźwiedź w lesie rozdrażniony — bez folgi wiele wożą się.
53. Na kredyt mu daje, a zapłata w lesie.
54. Krowa, co ryczy siłą w lesie, mało pożytku niesie.
55. Kryje się, jak w lesie zając.
56. Choćby był ksiądz w lesie, to mu każdy niesie.
57. Jak kukułka przyleci na suchy las, to będzie głodny czas; a jak zakuka w zielonym już gaju, spodziewaj się urodzaju.
58. Człowiek w kweresie—mówi: jestem, jak w lesie.
59. Jeszcze w kwietniu zimno i na żaby, i na baby, i na las, a najwięcej na nas.
60. Idź do licha na suche lasy, na gęste bory, na rozstajne drogi.
61. Natura wilka do lasu ciągnie.
62. Nauka w las nie idzie.
63. Komu nad okiem gęsty las wyrasta, ten wśród złych myśli zbyt często się szasta.
64. Ostrowieckie sinno, grabowieckie las, bodaj was piorun trzasł. (Grabowiec w powiecie radzyńskim gub. siedleckiej, posiada bardzo mało lasu i mokre łąki).
65. Laski, piaski i karaski ma szlachcic podlaski.
66. Las leszczyna, wróbel zwierzyna, gawrony dobytek, maślanka napitek, ryby karaski, bory laski, grunt kamienie i piaski: to szlachcic podlaski.
67. Ja z nim w pole, a on przed się do lasu.
68. Pole ma oczy, a las uszy.
69. Byłoby poszło, jak ptak do lasu.
70. Przyjechał, jak z lasu.
71. Rośnie, na las patrząc.
72. Po rozum w las nie idą.
73. Nie jedna rózga rośnie w lesie.
74. Jeden do Sasa, drugi do lasa.
75. Za króla Sasa pociągnął pasa, kiedy uciekał do lasa.
76. Nie znajduje ten strzały w czas, kto strzela na gęsty las.
77. Hardy strzelec w swoim lesie.
78. Szykowny, jak z bronami do lasu.
79. Świat jak las, człowiek jak liść.
80. Tłucze się, jako w lesie zając.
81. Dla wilka las, dla gołębia strzecha.
82. Jak wilk chowany wróci do lasu, to znowu będzie wilkiem.
83. Nie napędzaj wilka do lasu, trafi on sam.
84. Nie wołaj wilka z lasu.
85. Tak długo o wilku gadano, aż go z lasu wywołano.
86. Mów wilczkowi pacierz, a wilczek do lasa.
87. Weźmie się wilk do człowieka, jak mu w lesie głód dopieka.
88. Wilk, gdzie się urodzi, lasu nie szkodzi.
89. Wyją o nim wilcy w lesie.
90. Wywołał wilka z lasu.
91. Wrzeszczy, jak chłop na pustym lesie.
92. Wyje, jako w lesie wilcy.
93. Idzie żołnierz borem, lasem, spotyka się z biedą czasem.
94. Z żoną—jak z broną w lesie.
95. O Boże nasz, my do Ciebie, a Ty w las.
96. Słuchaj dąbrowo, co las mówi.
97. Z dzieckiem do kościoła, z broną do lasu.
98. Dziewko, do lasu, niech rośnie warkocz do pasa.
99. Rzuć kołacz za las, a powracając, go znajdziesz.
100. Gdy w ostatki jest dzień gładki, dobre rolnikom nowiny, — jakby lasy, oziminy.
101. Ze szczęściem można iść do lasu po grzyby.
102. Pod lasem widzisz, lecz pod nosem nie widzisz.
103. Jakbyś nie karmił wilka, on zawsze na las patrzy.
104. Nie wywołaj wilka z lasu, kiedy na to nie masz czasu.

Leśniczy.

1. Dziś jest leśniczym, a jutro niczym.
2. Lepiej być leśniczym, niż niczym. *(C. d. n.)*.

SPROSTOWANIA.

W podpisie pod ilustracyą na pierwszej stronicy № 13 „Łowca Polskiego", zamiast „Tomasz hr. Potocki" powinno być „Władysław hr. Potocki".

W spisie psów, wystawionych na IV-ej wystawie Warszawskiej (patrz. № 12), zaszła omyłka, a mianowicie: *list pochwalny* otrzymała nie suka „Wiga" p. Ed. Waliszewskiego, lecz „Agra" tegoż.

Treść Nr. 14 „Łowca Polskiego".

Prenumerata „Łowca Polskiego" wynosi:

W Warszawie: rocznie 6 rub., półrocznie 3 rub., kwartalnie 1 rub. 50 kop. (z odnoszeniem do domu).

Z przesyłką pocztową: rocznie 7 rub., półrocznie 3 rub. 50 kop kwartalnie 1 rub. 75 kop.

Zagranicą: rocznie 10 guld., albo 16 marek, albo 20 franków; półrocznie 5 guld., albo 8 marek, albo 10 franków.

Pojedynczy numer „ŁOWCA POLSKIEGO" 30 kop.

Ogłoszenia za wiersz drobnego pisma (petitu) lub jego miejsce 10 kop.

„ŁOWCA POLSKIEGO" prenumerować można w Kantorze Administracyi „ŁOWCA POLSKIEGO" Warecka 15, w Kancelaryi Warszawskiego Oddziału Cesarskiego Towarzystwa Prawidłowego Myślistwa, Nowy-Świat 35, oraz we wszystkich księgarniach w Warszawie i na prowincyi.

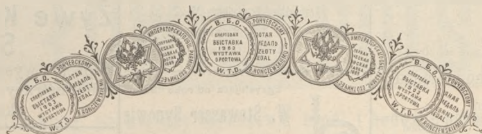
Listy do „Łowca Polskiego" adresować należy: Smolna 34, w Warszawie.

Redaktor i wydawca Jan Sztolcman. Druk Piotra Laskauera i Sp. Warszawa, Nowy-Świat 41.

Nr. 15. Warszawa, d. 1 Sierpnia 1906 r. R. VIII

Łowiec Polski

Kantor Redakcyi „Łowca Polskiego:" Warecka 15 w Warszawie.
(Listy do Redakcyi „Łowca Polskiego" adresować należy: Smolna 34).



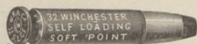
Warszawska Spółka Myśliwska

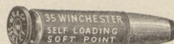
dawniej B. Ronczewski

WARSZAWA Królewska 17, Telefon № 1917.

poleca świeżo otrzymane **nowości:**







Amerykańskiej fabryki Winchester. **Automatyczne sztucery**

Myśliwskie 6-cio strzałowe

Automatyczne sztucery magazynowe myśliwskie, ***bezkurkowe, 6-strzałowe***, model 1905 r., amerykańskiej fabryki *Winchester*, z bezpiecznikiem, z lufą łatwo odejmowaną, do ładunków ***bezdymnych kal. 32 albo 35 o kuli opancerzonej całkowicie lub ekspansywnej***, wagi około 8¼ funta. Sztucery te dokładnie wykonane, o trwałym, nieskomplikowanym systemie, odznaczają się przedewszystkiem centrownym strzałem i silną penetracyą, a wobec znanej skuteczności kuli ekspansywnej na silną zwierzynę, doskonale nadają się do różnorodnych polowań. **Rb. 62.50.**

Praktyczne znaczenie tych magazynek podnosi się jeszcze przez możność noszenia za sobą zapasowych, napełnionych ładunkami magazynów dla natychmiastowego zastąpienia magazynu wyczerpanego po pierwszych 6 strzałach.

Dla wypuszczenia wszystkich strzałów strzelcowi nie pozostaje, jak tylko pociągać za cyngiel. Wszystkie inne operacye, jak: wyrzucenie wystrzelonej gilzy, odwiedzenie zamka i przeprowadzenie następnego ładunku z magazynu do kamery lufy, dokonywają się same, przez zużycie siły oddania.

Za dorobienie antabek do flintpasa i pas. . . . . Rub. 3.—
Setka ładunków do tych automatów kal. 32 albo 35 . . . . „ 13.50

Fabryki **LEBEAU-COURALLY** większy transport broni pojedynczych i parami różnych typów, świeżo nadszedł.

Pistolety i rewolwery różnych systemów, jako to: Browningi, Velodogi i systemu Smith & Wesson (łamane) oraz naboje do nich, już nadeszły i są na składzie.

Mam honor podać do wiadomości P. P. Myśliwych, że

REPREZENTACYĘ MOJĄ NA KRÓLESTWO POLSKIE, LITWĘ, WOŁYŃ, PODOLE i przyległe gubernie powierzyłem WARSZAWSKIEJ SPÓŁCE MYŚLIWSKIEJ (dawniej B. Ronczewski),

która posiada stale na składzie moje **sztucery dubeltowe** i **paradoxy**, jak również **trójlufki** o dwóch górnych lufach śrótowych i dolnej sztucerowej, lub dwóch górnych sztucerowych i dolnej śrótowej, albo też o wszystkich trzech lufach śrótowych lub sztucerowych.

Uprzejmie przeto proszę z łaskawemi zamówieniami dla mnie zwracać się wyłącznie do składu wspomnianej Spółki, a polecając i nadal P. P. Myśliwym moje bronie, których ciągłe udoskonalenie będzie zawsze przedmiotem moich osobistych starań, pozostaję

z uszanowaniem **Fr. WLH. HEYM** w Suhl.

KALENDARZYK MYŚLIWSKI.

W lipcu wolno polować na: dziki, łosie (byki), sarny (rogacze), głuszce (koguty), cietrzewie (koguty), jarząbki (koguty), a od d. 1 (14) lipca na wszelkie ptactwo przelotne, jako to: żórawie, czaple, kuligi, chruściele v. derkacze, bekasy (kszyki, fiolauzy), dubelty, słonki, czajki, przepiórki, kurki wodne, gołębie (grzywacze, sińce, turkawki), drozdy, skowronki, gęsi, kaczki i nurki.

Uwaga. Przepiórek do chwili otwarcia polowania na kuropatwy strzelać nie należy.

Lunacja w lipcu.

Nów d. 21 o g. 2 m. 23 pp.
Pierw. kw. d. 28 o g. 9 m. 20 w.

Wschód i Zachód Słońca

w lipcu

Dnia	Wschód		Zachód	
	g.	m.	g.	m.
16	3	57	8	13
17	3	59	8	12
18	4	0	8	11
19	4	1	8	10
20	4	3	8	9
21	4	4	8	7
22	4	5	8	6
23	4	7	8	5
24	4	8	8	3
25	4	10	8	2
26	4	11	8	0
27	4	13	7	59
28	4	14	7	57
29	4	16	7	56
30	4	17	7	54
31	4	19	7	53

Do wydzierżawienia w majątku Skrzypaczowice polowanie.

Może paść do 200 zajęcy, kilkanaście rogaczy, około 10-ciu lisów, 300-tu kuropatw. *Bliższych szczegółów udziela na żądanie zarząd dóbr poczta Koprzywnica.* (34)



Istnieje od 1854 r.

ZAKŁAD
wypychania zwierząt i ptaków
p. f.

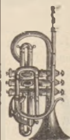
ANTONI ŁASTOWSKI

dawniej S. WYSOCKI

pozostaje na dawnem miejscu t. j. na
Krakowskiem-Przedmieściu № 22.

A. Łastowski

(1) Uczeń Delesalle'a w Paryżu.



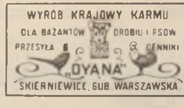
Egzystująca od roku 1824

W. Stowasser Synowie

Cesarsko-Królew. Uprzywil.
Fabryka instrumentów muzycznych
w Graslic (Czechy), *w Weronie (Włochy)*

w Warszawie Nowy-Świat 36.

Poleca wielki wybór instrumentów **dętych i rzniętych**, także **myśliwskich trąbek, mandoliny, gitary, citry** e t. c. Tamże przyjmuje się reperacye rozmaitych instrumentów. Katalogi bezpłatnie.



Żywe Jelenie

począwszy od 8-ka, w górę, najchętniej 12-ka, dzikiego lub oswojonego kupuję oferty X. 3. Admin. „Łowca Polskiego".

Żywe Kozły Szóstaki

kupi po wysokiej cenie K. 7. Administracya „Łowca Polskiego".

Furetki (tchórki francuskie)

do polowania na króliki
do sprzedania
Administracya Dóbr Nieborowskich
przez Łowicz, gub. Warszawska.

Psiarnia **Wiktora Szostaka**

w Osieczu Wielkim
st. kol. Wiedeńskiej Czerniewice,
posiada zawsze
ułożone wyżły
═ do sprzedania ═

ROMUALD WIĘCKOWSKI
Adwokat przysięgły. Chmielna 24.

KALENDARZ MYŚLIWSKI

ilustrowany **na 1906 rok**

pod redakcyą „Łowca Polskiego"

wyszedł z druku

nakładem Warszawskiej Spółki Myśliwskiej

i jest do nabycia

w Składzie broni Spółki Myśliwskiej (Królewska 17), w Redakcyi „Łowca Polskiego" (Warecka 15) i we wszystkich księgarniach.

Cena egzemplarza w oprawie 75 kop., bez oprawy 60 kop.

z przesyłką pocztową w oprawie 1 rb., bez oprawy 85 kop.